Wpisano do kontrolki periodyków
19 Rejonowej Wypożyczalni Książek
dla Dorosłych
Dn. 30.I. 1960

odgłosy

TYGODNIK ŁÓDZKI
Rok III
Łódź 31. I. 1960 r.
Nr 4 (100)
Cena 1 zł

KONRAD FREJDLICH

OSTRY DYŻUR

Trzeba się przyzwyczaić, jak oni wszyscy. Pacjenci na wózkach w oczekiwaniu operacji, lekarze, pan Kazio z napoczętą paczką „Giewontów".

Półmrok korytarza, czyjeś pośpieszne kroki, zgrzyt windy na klatce schodowej, skrzypienie drzwi. Po tym wszystkim matowe światło izby przyjęć — oślepia. Rzeczowy głos siostry: — Niech pani tak nie jęczy. Nie wolno przeszkadzać lekarzowi.

Kobieta leży na plecach, głowa odchylona w bok, kącikiem ust spływa uparcie krew. Krzyk ostry do bólu cichnie, słychać jakieś mruczenie. To gorsze niż krzyk.

— Z wypadku — mówi cicho lekarz. — Uderzyła ją taksówka na Przybyszewskiego.

Podchodzi do stołu zabiegowego, pochyla się nad pacjentką: — Do pracy pani szła czy z pracy?

Jeszcze raz to samo pytanie.

— Nie pamiętam, nic nie pamiętam.

Lekarz w białym fartuchu, stół zabiegowy zimny, lśniący, zakrzywiona chirurgiczna igła. Tylko ból taki sam od początku świata.

— Światło proszę!

W wycięciu chirurgicznej serwety poszarpane wargi i nos stają się bardziej wyraziste. Serweta zasłania oczy pacjentki, czoło, włosy. Nie pozwalają patrzeć na własny ból? I nagle ten pomruk tłumiony, bolesny. Błyski metalu: pinceta — igła, pinceta — igła.

Chirurg myje ręce, namydla dokładnie, spłukuje wodą.

— Niech pan zapali papierosa.

To do mnie. Wciąż do mnie łagodnym tonem:

— Przyzwyczaił się pan trochę, zaraz będzie coś ciekawszego. Operacja. Nie boi się pan?

Znowu korytarz. Za drzwiami sali operacyjnej stąpania, skrzypienie otwieranych szaf, brzęk metalu. Przygotowują zabieg. Chora, młoda dziewczyna leży na wózku w korytarzu blisko drzwi.

Wchodzimy do jakiegoś pomieszczenia, siadam w metalowym szpitalnym fotelu. Zapałka drży w moim ręku.

— Wybrał pan naprawdę zły dyżur. Sobota, przed świętami. Kto dzisiaj chce iść do szpitala? Tylko chorzy przyłapani przez niemoc nagle, prawdziwi. Bumelant nie przyjdzie. Nie będzie nic z tego, na co pan czeka. To będzie naprawdę spokojny dyżur, ulgowe dwadzieścia cztery godziny.

Czyjeś pośpieszne kroki.

— Pacjentkę przywieźli panie doktorze, pogotowie.

To pan Kazio, noszowy. Potem na korytarzu cichutko do mnie: — Ciężki przypadek. Staruszka.

Kobieta leży przygotowana do badania. Bielizna pod ciągnięta pod piersi, odsłonięty wzdęty brzuch. Lekarz przeprowadza wywiad, może ostatni w jej życiu: czterdzieści lat pracy w monopolu tytoniowym, renta, karetka pogotowia, I Klinika Chirurgiczna, wywiad.

— Jak pan chce widzieć operację, to trzeba się pośpieszyć — mówi pan Kazio. Znowu korytarz. — Przejął się pan, co? To jest ciężki przypadek. Skręt kiszek i te sześćdziesiąt osiem lat, ten wiek, wie pan.

Trzeba się przyzwyczaić, do wszystkiego. Do bólu i do śmierci. Dają mi maseczkę, wprowadzają do sali operacyjnej. Mdli eter, łagodna słodycz w ustach, coś lekko warczy. W obcym, innym świetle bezcieniowej lampy napięte twarze chirurgów. Brzuch już otwarty, palce chirurga błądzą w labiryncie kiszek, dotykają.

Eter małymi kroplami spływa na maseczkę. Pod powiekami straszne, nieruchome oczy pacjentki.

— Proszę tutaj spojrzeć, niech się pan nie boi.

Dr Załoga wprawnym ruchem wycina wyrostek. Cięcia, podwiązywania, znowu cięcia. Pole operacyjne błyszczy bielą płótna, krwią, plątaniną szczypiec.

Jakieś słowa do siostry, coś jakby prośba o igłę. Potem szycia. Nie można liczyć. Dr Dowgiełło odstawia maseczkę, już eter niepotrzebny. Asystujący lekarz prostuje się, odchyla swoją gazę na ustach. Dr Czarnecki, dopiero teraz poznałem.

— No i co?

Wiele rzeczy odbywa się poza moją świadomością. Co obserwować? Pan Kazio znowu podjechał wózkiem, robi opatrunek i nagle jeden chwyt rękami. Dziewczyna już na wózku, bezwładne ręce skrzyżowane na piersiach, żeby nie przeszkadzały w jeździe. Przez uchylone drzwi czuję za plecami mrok korytarza. Trzaskają drzwi windy.

Więc to życie albo śmierć poza naszą świadomością. Przed chwilą umarł dwudziestopięcioletni chłopak, z ostatniego ostrego dyżuru. Kuzyn wyrzucił go w sprzeczce przez okno z trzeciego piętra. Pęknięta śledziona, trzy operacje pod rząd w ciągu jednej nocy. Siedzimy teraz w piątkę w żelaznych fotelach, jakaś miła panienka przynosi kolację. Po tym wszystkim — kiełbasa, masło, chleb, herbata. Te sprawne ręce z wyraźnym trudem smarują teraz chleb.

Znowu pan Kazio, wszech-

Dokończenie na str. 5

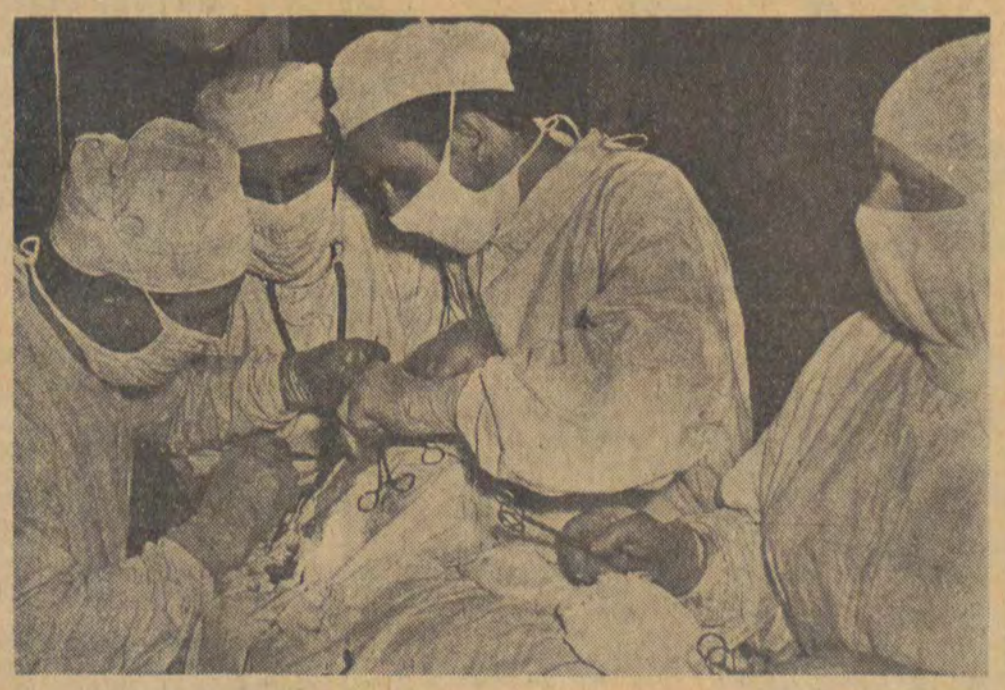

Krew nieśmiała na brzegach cięcia. To dopiero początek

Barbara Horawianka i Mieczysław Voit. W jakiej sztuce?... *Odpowiedź na str. 3*

ANDRZEJ BRYCHT

Pokutnice bez winy

1.

Powiadam ci: moja ciotka umarła na pranie. Nie rób zdziwionej miny — rzeczywistość zadziwia, a więc przeczy zdziwieniom. Tam był mały pokój, tam w mojej pamięci, pięć osób pod żarówką brunatną, w mgle skapującej ze ścian, pełgającej po szybie, przydającej wagi pierzynom, wszechwładnej. Niski spękany piec z cegły rudej, pryskający żarem i czadem, my w kątach, struci parą krochmalu i sody. Ciotka w starganym fartuchu, furia sparzona, wrzask, z balii bulgot, zgrzyt karbowanej blachy, potępieńczy pisk wyżymaczki.

Dobrze pamiętam. Katorga, pokuta: pranie. Wielkie pranie. I nie było ucieczki. Nocą gdzie pójść? Pranie było w noc na niedzielę, przez niedzielę i noc na poniedziałek. Sen w pościeli mokrej, co godzina pobudka, noszenie wody, dół — czwarte piętro, dół — czwartak...

Przed wojną to było, ciotka prała co miesiąc, półtorej doby na miesiąc, wreszcie ciotka umarła. Ja tej ciotki nie mogę zapomnieć, dobra była to ciotka. Przeżyła pięć dziesiąt lat. Przeprała dwa i pół roku. Jedną dwudziestą życia starła na tarze, wyparzyła, utopiła w balii. Umarła na Wielkie Pranie.

Nie wierzysz? Do diabła, młoda kobieta, ja byłem wtedy dzieckiem, a mimo to a może właśnie dlatego pamiętam, za bardzo pamiętam, to już obsesja: brzydzę się praniem, jak inni brzydzą się brudem! Chwała Materii, że się we mnie — Mężczyznę — ukonstytuowała. Nie muszę prać! A ty jesteś skazana...

Uff.. Dość nieprzyjemnych spraw. Chodźmy do kina.

Cóż to za ironiczny uśmiech? Sprzykrzyło ci się moje towarzystwo? Odmawiasz?

Przemówiła dziewczyna: Ależ chcę iść z tobą na film. Lubię cię bardzo. Tylko widzisz.., teraz, na czwartą nie mogę. Muszę być w domu. Pomóc mamie. U nas jest... duże pranie.

O, niech to diabli! Zatrząsłem się. Sobota dziś. A więc jutro, całą niedzielę spędzę sam. Straciłem wiarę w życie.

— A jeśli i ty mnie lubisz... chociaż tak, jak ja ciebie — powiedziała dziewczyna — to pomożesz mi. Chodź!

Pociągnęła mnie mocno za rękę. Poszedłem za nią. Ja już naprawdę nie miałem siły. Ja już naprawdę przestałem ją lubić...

2.

Mieszkała na Oriej. Pierwszy raz szedłem do niej, znaliśmy się od niedawna. Odrapana czynszówka, drugie piętro. Już na schodach mocno wciągałem nosem powietrze, żeby na przekór sobie poczuć znajomy, a znienawidzony zapach prania. Nie czułem jakoś. Hm.

Kiedy otwarły się drzwi, odruchowo skuliłem ramiona, przymknąłem oczy. Okropność — ze świeżego powietrza wpaść w kłęby wrzącej pary.

— To jest Andrzej — usłyszałem głos dziewczyny — a to moja mama.

Ceremonię powitania odcelebrowałem wyjątkowo pięknie, zdobyłem sympatię mamy.

— On pomoże — powiedziała dziewczyna.

— Świetnie! — ucieszyła się mama.

Weszliśmy do kuchni. Hm. Ani pary. Ani balii. Ani tary. Owszem, blaszana wanna stoi. Przy wannie elektryczna pralka.

— Będzie pan włączał i wyłączał tę piekielną machinę — powiedziała mama. — Dziś mamy wyjątkowo dużo prania — dodała z troską.

I zaczęło się. Spojrzałem na zegarek — trzecia. Włączałem i wyłączałem. Włączałem. Wyłączałem.

Nie, nie zmęczyłem się tą pracą. Zmęczyłem się słuchaniem. Potężny terkot silnika SHL nie zagłuszał dziwnego głosu, przywykłego do zwyciężania huku maszyn w fabryce. Są ludzie (czytaj: kobiety), które odczuwają nakaz moralny, by powiedzieć wszystko o sobie komuś, kto w nich wzbudził sympatię. Gdy coś zostaje utajone przez zapomnienie, czy brak czasu, tacy ludzie (czytaj: kobiety) nie mogą chyba spać w nocy. Podejrzewam, że mimo wszystko mama nie spała. Ależ głos!

— Pan jest porządny człowiek, bo pierwszy raz pan przyszedł, a już pan pomaga. Mnie ciężko jest, proszę pana, mąż umarł dwa lata temu. Trzy córki, proszę pana, utrzymać, oprać, obszyć, najstarsza, ta tutaj, studiuje, młodsza kończy gimnazjum, najmłodsza powszechną. Sama tylko pracuję. Na produkcji, proszę pana. W Zakładach Przemysłu Bawełnianego imienia Obrońców Westerplatte. Wie pan, gdzie to jest? Na Ósmego Marca, pod dwudziestym czwartym. Co tu mówić, zarabiam tyle, że na nas cztery, to ledwo starczy, dobrze, że starsze córki mają stypendia.

— Jest pani bardzo oszczędna — rozdarłem się nad pralką — uskładała pani na pralkę!

— A, skąd! Myśli pan, że tak łatwo wyrzucić od razu dwa tysiące! Jeszcze żeby mąż żył, to tak. To nie moja, to zakładowa pralka! —

— Jak to, zakładowa? — krzyczę.

— A tak, zakładowa!

Zastanowiło mnie to, ale

Dokończenie na str. 8

JERZY JASIEŃSKI

Artykuł dyskusyjny

Detektywi i prestidigitatorzy
czyli
druga strona „zwolnień lekarskich"

Jak wiadomo, ze względu na dobrodziejstwo tzw. zwolnienia lekarskiego, pacjenci dzielą się na chorych i na tych, którzy za chorych się podają. Rzecz oczywista, że spotkania lekarza z tą drugą kategorią pacjentów są wyjątkowo niemiłe i muszą prowadzić do sytuacji konfliktowych. Powiadam: muszą, albowiem obie zainteresowane strony przestają być sobą. Lekarz upodabnia się do czujnego detektywa, a chory zamienia się w coś w rodzaju prestidigitatora, który z mniejszym lub większym powodzeniem stara się wyczarować to, czego nie ma w rzeczywistości. W tej fałszywej sytuacji scysja jest nieunikniona — lekarz i pacjent w żaden sposób nie mogą osiągnąć porozumienia: lekarz, bo nie może orzec nieistniejącej choroby, a pacjent im mniej ma racji, z tym większym uporem trwa w roli „chorego", ponieważ potrzebuje zwolnienia lekarskiego.

W toku takiej wizyty wynika przykra wymiana zdań i poglądów, obrazy wzajemne, a czasem i... siekiera!

Wśród owych quasi — pacjentów można wyodrębnić dwie grupy: jedną stanowią typowi bumelanci, ludzie o zmniejszonej odpowiedzialności moralnej, opuszczający pracę bez żadnych lub z błahych powodów. Ilość ich jest stosunkowo niewielka i nie są oni przedmiotem niniejszych rozważań.

Do drugiej grupy należą ludzie, których do opuszczenia pracy skłaniają ważne, choć pozachorobowe, powody.

W pewnej mierze sprawy te reguluje uchwała nr 320 Rady Ministrów z dnia 16 sierpnia 1957 r. w sprawie przestrzegania dyscypliny pracy (Monitor Polski nr 70, poz. 432), w którym to dokumencie przewidziane są dwudniowe zwolnienia z pracy z okazji ślubu, urodzin dziecka, pogrzebu lub okresowe delegowanie na sezonowe prace rolne (wykopki, walka ze stonką i inne)... Poza tymi nadzwyczajnymi wydarzeniami, istnieje w życiu codziennym wiele okoliczności, w których może należałoby zwolnić człowieka z pracy na jeden — dwa dni, aby załatwił swoje sprawy. Do nich, moim zdaniem, należą na przykład:

- opieka nad zdrowym dzieckiem,
- przeprowadzka,
- zwózka węgla, kartofli,
- wyjazd do chorych lub pozbawionych opieki członków rodziny, przebywających w innych miejscowościach,
- malowanie w domu, remont,
- czynności przed i poświąteczne,
- jakaś inna, niechorobowa, ogólna niedyspozycja do pracy (np. jakieś nagłe głębokie przeżycie natury osobistej, przy którym myśli człowieka są skoncentrowane wyłącznie na własnych sprawach; praca w tym dniu może być mało wydajna lub nawet może grozić wypadkiem).

Ze wszystkich wymienionych — największy ciężar gatunkowy posiadają sprawy opieki nad dzieckiem, a czym bardziej szczegółowo powiem dalej.

Uchwała, podana wyżej, nie przewiduje zwolnienia z pracy w związku z wymienionymi okolicznościami. Istnieją one jednak w życiu codziennym, są niewątpliwie ważne i na każdym kroku dają o sobie znać człowiekowi.

Więc kto ma w tych wypadkach usprawiedliwić nieobecność człowieka w pracy? Lekarz? W żadnym wypadku! Co ma wspólnego praca lekarza z malowaniem w domu pacjenta lub przeprowadzką? A jednak właśnie lekarz najczęściej styka się z tymi sprawami, a to dlatego, że poza nim nikt nie ma prawa wnioskowania o zwolnienie pracownika. Lekarz jest jedyną osobą urzędową, która może wystawić druk „L-4", tzw. „zwolnienie lekarskie". Druk ten, nawiasem mówiąc, jest bardzo ceniony przez pacjentów, ponieważ daje możność otrzymania zasiłku chorobowego, a poza tym jest „mocnym" dokumentem, tj. takim, którego się z zasady nie kwestionuje, chociażby otoczenie miało wątpliwości co do stanu zdrowia posiadacza „L-4".

Oczywiście, postawa lekarza w tych sytuacjach jest różna, w zależności od rodzaju sprawy. Nie we wszystkich też przypadkach ma się do czynienia z człowiekiem ukrywającym cel wizyty. Często pacjent brzydzi się kłamstwem, zresztą jest pewien słuszności swoich starań i mało go obchodzi, jaką drogą zostaną one załatwione. W tym wypadku całe zmartwienie pozostawia on lekarzowi.

Oto konkretny przykład, jeden z wielu. Ojciec czworga dzieci zgłasza się do lekarza i oświadcza, że żona leży w szpitalu, on pracuje, a dzieci pozostały same i wymagają opieki, co ma robić? Dzieci zdrowe, ojciec zdrów, służba zdrowia nie może zadysponować tak zwanej „opieki nad chorym", a przecież jest jasne dla każdego, iż kilkorga maluchów nie można zostawić bez opieki. Dodać należy, że ojciec był już i w radzie zakładowej i w podstawowej organizacji partyjnej. Wszędzie rozumieją sytuację, ale są bezsilni, ponieważ nie mają uprawnień do zwolnienia go na czas opieki i usprawiedliwienia nieobecności. Pozostaje więc jedynie lekarz, dla którego zwolnienie zdrowego ojca dla opieki nad zdrowymi dziećmi jest, w świetle zadań służby zdrowia, czymś wręcz paradoksalnym. Żeby choć jedno z tych dzieci było „troszeczkę chore", aby był pretekst do wydania ojcu „opieki"! Zabijcie mnie, ale naprawdę często finguje się chorobę dziecka, byle tylko ojciec mógł czasowo zastąpić matkę kilku pociechom.

Przypadki chwilowych powikłań życiowych, nie mające nic wspólnego z chorobą, wymagające praktycznego załatwienia „od ręki" i trafiające zupełnie niewłaściwie w ręce lekarza tylko dlatego, że on jedyny ma możność usprawiedliwienia nieobecności człowieka w pracy — są nader częste. Nie przewidziano w żadnej ustawie jakiegoś ciała kolegialnego, czy też zaufanych osób, które miałyby prawo usprawiedliwić nieobecność zdrowego człowieka w pracy, tak by ten nie tracił z zarobku więcej niż przy uzyskaniu od lekarza zaświadczenia o czasowej niezdolności do pracy. Najbardziej powołani do tego są chyba sami pracodawcy, którzy mogliby w oparciu o opinię zakładowych organizacji społecznych rozstrzygać te sprawy. Nałożenie tego obowiązku na pracodawcę wydaje się tym bardziej celowe, że właściwie nie kto inny, jak on, decyduje każdorazowo o „zwolnieniu".

Przecież w druku „L-4" jest powiedziane wyraźnie, że „XY jest niezdolny do pracy" według opinii lekarza, który nie zwalnia chorego, a jedynie występuje do pracodawcy z wnioskiem o zwolnienie. Prawnego usprawiedliwienia nieobecności w pracy dokonuje dopiero pracodawca.

Na marginesie pragnę jeszcze zwrócić uwagę na dwa mniej ważne momenty omawianego zagadnienia.

Pierwszym jest świadome zniekształcenie medycznej statystyki naukowej. Wprowadza się do niej przypadki (notowane na podstawie zwolnień lekarskich) w rzeczywistości nie istniejące, bo uwidocznione przez lekarza albo tolerującego błąd albo w błąd wprowadzonego.

Drugi moment — to ciążenie tego rodzaju spraw na autorytecie lekarza. Ponieważ sprawy te nie należą do fachowej kompetencji służby zdrowia, przeto w sposobie ich załatwiania może przejawiać się duża dowolność, w zależności od doświadczenia życiowego, poglądów oraz charakteru lekarza. Wtedy może się zdarzyć, że o lekarzu liberalnym powiedzą: „naszego doktora łatwo bujać, zawsze da zwolnienie" o innym zaś, bardziej rygorystycznym: „ten nasz doktór to nie z tej ziemi, nigdy nie da zwolnienia, jak się go prosi".

Jak widać, cała sprawa, rozpatrywana z różnych stron przedstawia się wyraźnie niekorzystnie, tak dla pacjentów, a raczej quasi-pacjentów, jak i dla pracowników służby zdrowia.

Czy w świetle tego, nie wydaje się celowym powołanie takiego organu, który mógłby na tych samych prawach co lekarz usprawiedliwiać nieobecnych w pracy ludzi?

Unormowanie tych spraw dałoby w rezultacie następujące korzyści:

a) ludzie nie musieliby okłamywać lekarza i „uciekać w chorobę";

b) lekarze byliby zwolnieni od niemiłego obowiązku wykrywania bumelantów wśród ludzi zgłaszających się i mogliby w spokoju i ufności zająć się leczeniem i profilaktyką;

c) zakłady pracy zostałyby zwolnione od konieczności stałej kontroli przestrzegania przez ludzi zwolnień lekarskich, ponieważ zwolnienia wydawane wyłącznie ludziom chorym, nie budziłyby zastrzeżeń.

Wydaje się, że zbyt wiele przemawia „za", aby nie zgodzić się z wnioskiem. Wyjście jest raczej proste, byle nie kierowano się zasadą: dlaczego ma być proste, kiedy może być skomplikowane?

Po oddaniu niniejszego artykułu do druku ukazało się zarządzenie Prezesa Rady Ministrów, regulujące szereg omawianych spraw. Mamy nadzieję, iż otwarta na naszych łamach dyskusja wyklaruje całokształt zagadnienia. (red)

Nasza szkółka

Czytanie z pustki

Na okoliczność jubileuszu Belfer otrzymał laurkę (Bóg zapłać, dobrzy ludzie!) tudzież parę tzw. wiązanek (też Bóg zapłać). Jeden tylko Uczeń cenzuralnie a przyjaźnie zauważa: „Te, Belfer dawniej to ty byłeś byczy facet, bo uczyłeś nas czytania gazet. Teraz wolisz już się nie narażać i pouczasz ex cathedra. Widać już ci przyprawili pupę. Ej, Belfer, Belfer, co zostało z twojej „Naszej Szkółki"?

Święte słowa. Człowiek tak się fascynuje cybernetyką i astronautyką, że niepostrzeżenie leci gdzieś w obłoki, zaniedbując podstawowe, koncepcyjne obowiązki.

Tedy na życzenie PT Uczniów wracam do czytania gazet. Tematem dzisiejszej lekcji będzie umiejętność czytania w gazetach, łódzkich oczywiście, tego, czego w nich nie ma. A raczej wyciąganie wniosków z racji tego, że czegoś wyraźnie w nich brak.

Jak wiadomo, było u nas wielkie świętowanie, z tej okazji zaś — podsumowanie. I gazety dały mnóstwo nowych i ciekawych informacji. Jeden nomen omen dziennik podał, że w Łodzi mieszkają: dwaj poeci, czterej prozaicy a ponadto trzej fraszkopisarze i satyrycy imieniem Jan. Jest to nader cenna informacja, bo prostuje nieścisłości takiego np. „Informatora Uniwersalnego Łódź od A do Z", który w branży piśmienniczej wylicza aż 50 dusz. Z tej redukcji, albo lepiej — sprostowania wiadomo nareszcie kto jest kto. Tylko autor tej odkrywczej informacji pozostaje anonimem. Szkoda, iż nie wiemy na dodatek, kto jest u nas w Łodzi owym znakomitym koneserem literackim i rzec by można — arcyodważnym klasyfikatorem-krytykiem. A tak to co? Zamęt na Mickiewicza i w ogóle dno. Drugie dno, oczywiście i w gazecie.

Nie tak dawno była wielka awantura o filmową szkołę. I padały nieomal argumenty, że ta szkoła to kość z kości i krew z krwi. Że jacyś paskudnicy chcą oszerocić kochane nasze miasto, to nasze polskie Hollywood. Również ostatnio w święta mieliśmy cenne próbki doceniania owego Hollywood. Ordery i odznaki dla zasłużonych wobec miasta. I cóż? Na honorowych listach nie uświadczysz ani jednego reżysera, scenografa lub choćby jakiegoś emeryta WFF. Z tej pustki wiele można wyczytać. Po pierwsze, że wcale nie mamy wybitnych i głośnych w świecie, nie mówiąc już o kraju, reżyserów. Po wtóre, że z tą polską szkołą filmową i tymi różnymi międzynarodowymi prix — to chyba jakaś lipa. I po trzecie, że exodusy twórców z Łodzi — to przypadki albo pogoń za mamoną i w ogóle jakiś bezrozumny owczy pęd.

Ale ja miałem mówić o tym, czego w gazetach wyraźnie brak.

W tych dniach widziałem nowy film Stanisława Różewicza — „Miejsce na ziemi". Mimo że nigdzie nie zostało powiedziane (bo niby po co?), iż akcja tego ciekawego filmu dzieje się w Łodzi i niedaleko Łodzi, nie przeoczycie i bliskości, i łódzkości tej scenerii. Szukam w gazetach objawów odrobiny pomyślunku lub zgoła irracjonalnego lokalnego patriotyzmu, choćby nieśmiałych westchnień, by prapremierę tego filmu odbyć właśnie w Łodzi. Szukam i jest... Milczenie. Pustka. Z tego milczenia i z tej pustki też niejedno można by wyczytać.

Można, lecz trzeba chcieć. A ja nie chcę. Wolę nie. Bo wtedy by trzeba przypomnieć to i owo. Na przykład, że taki Wrocław nagrodził reżysera Lenartowicza na długo przedtem nim ten zrealizował „Zobaczymy się w niedzielę" i tylko za to, że Lenartowicz kręcił przeważnie we wrocławskim atelier. Poza tym nie chcę czytać z owej pustki, bo wtedy trzeba by daleko się posunąć. Że skoro w Łodzi mamy dwóch poetów, czterech prozaików i trzech satyryków imieniem Jan, to monstre-nagroda literacka wokół której co rok tyle jest rozróbki, powinna... Co mówię? Brrr...

Albo, że wezmę już na warsztat ziemskie, nieodświętne i nie takie ekskluzywne sprawy. Dwie dziennikarki „Życia Warszawy" zaciekawione badaniami naszych naukowców nad budżetem czasu łódzkich kobiet — zjechały do nas, by się przyjrzeć ich zaharowaniu z bliska. Pięknie z ich strony, bo one zawsze więcej mogą z centralnego szczebla. Tym bardziej pięknie, że i rozsądne artykuły napisały o tym, iż lansowana u nas wielka mechanizacja babskiej roboty, budowa gigant — pralni i salonów — owszem, lecz to nie wszystko, bo na giganty jeszcze trochę poczekamy. Nadto w rodzinach robotniczych częściej się robi przepierki niż „wielkie prania", więc lepiej iść na małą mechanizację, na zakup pralek przez zakłady pracy i wypożyczanie ludziom owych pralek. Panie z Warszawy nic nie wymyśliły, bo pokazały tylko to co praktykuje się w Zakładach im. Obrońców Westerplatte. Czytał kto o tym w łódzkiej prasie, słyszał w Łodzi? Szukam chociażby wzmianki o tych dość ciekawych ale dyskusyjnych propozycjach, chociażby echa. I znowu głucho. Pustka. Wieloznaczącą pustka. Nawet dostojny jubilat „Dziennik Łódzki" który prowadził swego czasu dziarską akcję pod wezwaniem „Ludwiku do rondla" o tych istotnych dla się, bo tyczących jego zainteresowań propozycjach ani mru, mru. Brawo. To ci dopiero samodzielność i konsekwentny opór wobec prób centralizacji.

To wszystko. Albowiem obce oraz nienawistne są mi wszelkie myśli o klimacie prowincjonalizmie itd.

BELFER

Czy Caryl Chessman zostanie stracony?

Pod koniec 1947 roku pojawił się w Los Angeles tajemniczy i groźny bandyta. Operując nocami, najchętniej w okolicy plaży pomiędzy Malibu a Santa Monica, napadał na młode dziewczęta, oślepiał je nagłym błyskiem czerwonego światła, ogłuszał, uprowadzał, gwałcił i obrabowane porzucał. Częstotliwość napadów i brutalność złoczyńcy wywołały powszechne wzburzenie.

Pewnego wieczoru patrol policyjny zatrzymał podejrzanego przechodnia, lecz ten uskoczył nagle w boczną uliczkę, wpadł do stojącego tam samochodu i odjechał z największą szybkością. Ujęto go po dłuższej pogoni, a na tylnym siedzeniu porwanego Forda znaleziono latarkę z czerwonym światłem oraz pistolet małego kalibru.

Okazało się wkrótce, że niedoszły uciekinier, Caryl Chessman student trzeciego roku prawa, ma za sobą bogatą przeszłość kryminalną.

Trzeba przyznać, że młode lata Caryla nie należały do najbardziej szczęśliwych. W szóstym roku życia, po zapaleniu opon mózgowych niemal ogłuchł. Matka po wypadku samochodowym straciła władzę w nogach, ojciec po krachu finansowym popełnił samobójstwo. Opuszczony przez wszystkich Caryl w piętnastym roku życia zaczął kraść z głodu i dostał się do domu poprawczego. Przeszedł tam dobrą

szkołę kryminalistyki i po zwolnieniu miał już fach w ręku. Za trzydzieści włamań, dziewięć kradzieży samochodów i jeden porachunek nożem skazany został na szesnaście lat więzienia. Osadzony w San Quentin — głównym więzieniu stanu Kalifornia — uciekł po kilku miesiącach. Na wolności nie bawił długo, a za ucieczkę doliczono mu dodatkowe dwanaście lat. Caryl miał wtedy lat dwadzieścia.

W trzy lata później dostał wiadomość o śmierci matki, którą bardzo kochał. Za nanową poparciem naczelnika więzienia złożył prośbę o ułaskawienie i, o dziwo, łatwo je uzyskał.

Po wyjściu z więzienia zerwał całkowicie z przeszłością, rozwiódł się z pierwszą żoną, ożenił powtórnie i dość szczęśliwie, wziął się do pracy, ukończył liceum i zapisał na uniwersytet.

(Dokończenie na str. 8)

Nagrody tygodnika „ODGŁOSY"

Jury nagród tygodnika „Odgłosy" i Wydziału Kultury RN m. Łodzi, w składzie — Wiesław Jaździński (red. nacz. tyg. „Odgłosy"), Stanisław Juszczyk (red. nacz. „Expressu Ilustrowanego"), Stanisław Mojkowski (red. nacz. „Głosu Robotniczego"), Jan Podoski (red. nacz. „Dziennika Łódzkiego"), Aleksander Postołow (dyr. Wydawnictwa Łódzkiego), Zdzisław Skwarczyński (prof. Uniwersytetu Łódzkiego) i Ryszard Stefańczyk (nacz. Wydz. Kultury Prez. RN m. Łodzi) przyznało, zgodnie z par. VII regulaminu, następujące nagrody tygodnika łódzkiego „Odgłosy":

Zbigniewowi Chylińskiemu

nagrodę za najlepsze publikacje półrocza, które zyskały najwyższą ocenę jury. Są to felietony, artykuły i reportaże, publikowane w tygodniku „Odgłosy" i w Polskim Radio, odznaczające się wysokim poziomem ideowym, odkrywczością i odwagą w stawianiu problematyki. Wysokość nagrody — 4.000 złotych;

Andrzejowi Brychtowi

nagrodę dla młodych twórców za prace reportażowe drukowane na łamach tyg. „Odgłosy", związane z Łodzią i województwem, a poprzez swoje zaangażowanie ideowe i komunikatywność szczególnie cenne dla pisma. Wysokość nagrody — 3,000 zł;

Bernardowi Sztajnertowi

nagrodę dla młodych twórców za utwory prozatorskie i poetyckie, drukowane w tygodniku „Odgłosy", wyróżniające się walorami artystycznymi. Jury brało także pod uwagę prace B. Sztajnerta publikowane przez inne pisma i Wydawnictwo Łódzkie. Wysokość nagrody — 3.000 zł;

Zygmuntowi Fijasowi

nagrodę specjalną za utwory satyryczne publikowane na łamach tygodnika „Odgłosy", w szczególności zaś za cykl felietonów pt. „Ambona satyryka", odznaczających się wysokimi walorami literackimi i zaangażowaniem w problematykę współczesną. Wysokość nagrody — 4.000 zł.

U Voitów

Wszystkie zdjęcia Horawianki i Voita czyli państwa Voitów były robione w ich zaciszu domowym, dokąd wcisnęli się reporterzy „Odgłosów". Na stronie pierwszej podziwiamy naukę gry na okarynie. Kto kogo uczy? Voit twierdzi, że on jest nauczycielem. Horawianka, że ona Nie była to jedyna sprzeczność nieantagonistyczna zauważona w czasie tej wizyty.

Horawianka opowiada. Voit opowiada. Jak prześlicznie złożył ręce Voit i z jakim przejęciem półkrzyknął: „Jezus, Maria!", kiedy jego żona opowiedziała o wypadku, jaki zdarzył się jej za kulisami tuż przed występem. „Upadłam i rozcięłam sobie wargi". A Voit: „Jezus Maria". Voit się zwierzył: „Moją ulubioną aktorką jest Hepburn" Horawianka natychmiast odparła: „A moim ulubionym aktorem jest Voit". „A, oczywiście — odparł pan domu. — Mówiłem o zagranicznych aktorkach. W kraju bezsprzecznie najwięcej podoba mi się Horawianka". „Nie chodzi nigdy na moje przedstawienia" — zareplikowała Horawianka. „Nieprawda, nieprawda" — prostował pan domu.

Relacjonując naszą wizytę językiem sprawozdawcy teatralnego, w ramach tej konwencji, w jakiej przyjęli nas Voitowie, gospodarze osiągnęli maksimum tego co można było osiągnąć. Sztuka, jak to się powiada, trafiła w najlepsze ręce. Barbara Horawianka w roli pani domu to wielkie i radosne przeżycie. A pan domu? Niech wzdychają pensjonarki z warkoczami i bez warkoczy.

Rozmowa wiązała się z literaturą, filmem, teatrem. Voitowie wspominają pierwsze występy na scenach Krakowa, kiedy to pisano „o nowym nabytku, młodziutkim aktorze Voicie, który stworzył wspaniałą, teatralną sylwetkę...", jak to przez dłuższy czas grali obydwoje role amantów, aż się w końcu (w 1957 r.) pobrali. Wspominano też i Paryż i Wiedeń (Horawianka występowała w tych miastach), a także Anglię, w której ostatnio bawił Voit. A Łódź? W robotniczej Łodzi Voit gra role arystokratów...

Ale czas na wyjaśnienia. Nie tylko dla tych 150 tysięcy widzów Teatru Nowego, którzy w ciągu roku oglądną naszych aktorów. Polonezа czas zacząć! Przedstawiamy państwu ŁODZIAN ROKU 1960. Pierwsza para już rusza: Horawianka i Voit. Dlaczego zaczęliśmy od nich? Przecież Voitowie mieszkają w Łodzi dopiero od dwóch lat. Voit mówi: „Urodziłem się w Kaliszu, wychowałem na wschodzie, zakochany jestem w Krakowie". A Łódź? Jest przecież pretekst do nadania honorowej odznaki: Voit urodził się w naszych stronach, w Kaliszu! Ale Horawianka, daj jej Panie Boże wiekowanie w Łodzi, przyszła (ku naszej radości) na świat w Katowicach. Więc jakże to? Po co Warszawie wskazywać palcami kto w Łodzi ciekawszy?

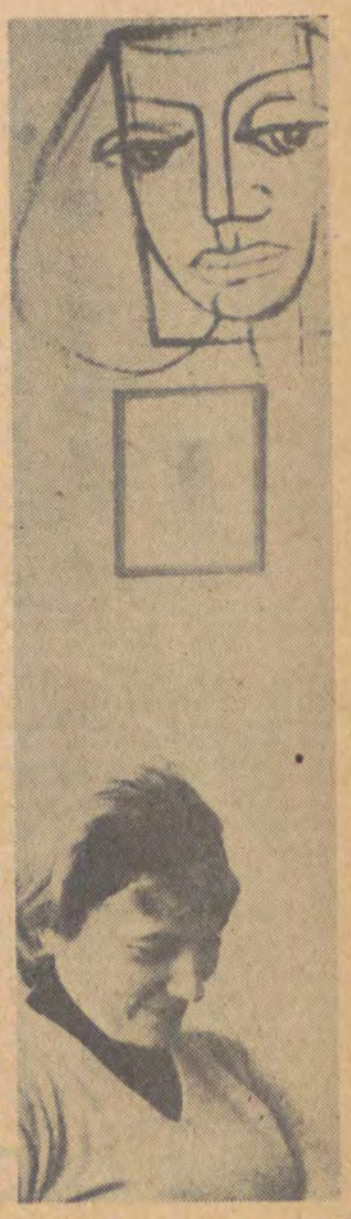

A nuż Warszawa zwróci uwagę na nich uważając że w Łodzi są niepotrzebni?

A może Łodzianie wbrew szanownym krytykom naszego siedmiusettysięcznego „przedmieścia Warszawy" nie potrafią już sobie wyobrazić pełni życia swojego miasta bez rozkwitu sztuki.

My tak sądzimy i dlatego Voitowie, którzy tę sztukę reprezentują, idą w pierwszej parze. Wojciech Natanson zwrócił kiedyś uwagę, że „brak podniet estetycznych staje się jedną z przyczyn depresji.. awanturnictwa, odurzania się narkotykami i... Stop. Niechętnie cytuję dalej... Bowiem co za świetna starka u Voitów! Niech żyje pierwsza łódzka para w naszym polonezie!

Tekst: PAT
Zdjęcia: BIL

Łodzianie 1960

Nagroda dodatkowa

Niezależnie od nagród tygodnika „Odgłosy" jury przyznało

Janowi Koprowskiemu

nagrodę za całokształt działalności związanej z upowszechnieniem kultury na terenie Łodzi i województwa, szczególnie zaś za społecznie zaangażowane felietony tygodniowe, publikowane w „Dzienniku Łódzkim".
Wysokość nagrody — 4.000 zł.

I Polacy nie gęsi czyli o polskich rakietnikach

JERZY ŁAŃCUT

Rakiety są znane od bardzo dawna. Dzisiaj trudno jest ustalić pierwszą datę ich użycia. Przypuszczać należy, że ich rozwój i zastosowanie związane były z wynalezieniem prochu czarnego. Dlatego powszechnie przyjmuje się, że twórcami rakiet są Chińczycy. „Strzał ognistych", czyli zwykłych strzał z przymocowanym do nich prymitywnym silniczkiem rakietowym, używali również Persowie i Hindusi. Z Chin, poprzez kraje arabskie, technika rakietowa przedostała się do cesarstwa greckiego, do Carogrodu (Bizancjum). Tam specjalizowano się w tzw. „ogniu greckim" — owej tajemniczej broni, przejmującej grozą prostych rycerzy zachodnich.

W Europie używano rakiet już w X wieku. Mianowicie wojska księżniczki kijowskiej Olgi używały strzał zapalających popędzanych silniczkiem rakietowym do podpalenia obległych grodzisk. Strzały te pochodziły z Bizancjum. W XI wieku rakiet używają Wenecjanie przeciwko Normanom i Saracenom, a w XIII wieku używają ich Arabowie na Półwyspie Pirenejskim.

A U NAS — LEGNICA

Najstarszy dokument, mówiący o zastosowaniu rakiet na ziemiach polskich, został napisany przez Jana Długosza. Dotyczy on bitwy pod Legnicą stoczonej w 1241 r. Wówczas to Tatarzy użyli z powodzeniem strzał ognistych.

Wśród polskich rycerzy szerzył się zabobonny strach, ludzie i konie uciekali przed tą dziwną bronią. I choć niektóre egzemplarze tej broni wpadły później w ręce polskie, nie tylko nie używano jej, ale nawet nie zbadano jej, przypisując jej działanie siłom nieczystym.

POLACY O RAKIETACH

W literaturze polskiej pierwszy opis budowy rakiet znajduje się w dziele Marcina Bielskiego „Sprawa rycerska według postępku y zachowania starego obyczaju Rzymskiego" wydanym w Krakowie w 1569 r.

Zagadnienie rakiet porusza również nieznany autor w rękopisie pt. „Książka puszkarzom wszelkim bardzo potrzebna z różnych autorów zebrana" z roku 1624.

Rękopis puszkarza króla Zygmunta III Wazy, Wenecjanina Dello Aqua, z 1637 r. porusza również niektóre zagadnienia techniki rakietowej. Mimo że Dello Aqua popełnił wiele błędów, jednakże jego praca posiada wartość dokumentu.

W pięć lat później, bo w 1643 r. wychodzi tłumaczenie książki kapitana Diego Uffana pod bardzo długim tytułem: „Archelia albo Artilleria to jest..." dokonane przez Polaka Jana Dekana.

Ze względu na to, że w XVI i XVII wieku rakiety schodzą na drugi plan wypierane przez artylerię gładkolufową, w pracach tych zastosowanie, technika budowy i wytwarzania rakiet traktowane są raczej marginesowo. Rakiety wówczas służyły głównie do uświetniania uroczystości dworskich, iluminacji, fajerwerków itp. O ich zastosowaniu bojowym nie było wówczas mowy.

WALENTY SEBISCH

Znacznie pełniej i wszechstronniej zagadnienie techniki rakietowej traktuje w swych pracach Walenty Sebisch (1577 — 1657), architekt budowniczy, wynalazca, astronom i pirotechnik w jednej osobie, żyjący na Śląsku w okolicach Wrocławia. Prace swe wykonywał on na zlecenie magnaterii polskiej; stąd jego konstrukcje rakiet poświęcone są głównie celom rozrywkowym. Sebisch jest autorem projektu rakiet wielostopniowych posiadających postać smoka, z którego zionącej ogniem paszczy wylatują inne mniejsze rakiety, mające razić nieprzyjaciela. Również bardzo ciekawy jest jego opis baterii rakiet o wspólnej dyszy. Niektóre ze swych projektów Walenty Sebisch zrealizował i współcześni mogli je podziwiać na zabawach dworskich. Prace Sebischa są szczególnie cenne z tego względu, że niektóre rozwiązania takie same lub podobne przypisywane były późniejszym wynalazcom.

„ARTIS MAGNAE ARTILLERIAE PARS PRIMA" — KAZIMIERZA SIEMIENOWICZA

Technika rakietowa znalazła pełne odzwierciedlenie dopiero później, w dziele pułkownika królewskiej artylerii polskiej, doskonałego inżyniera wojskowego, Kazimierza Siemienowicza, zatytułowanym „Artis magnae artilleriae pars prima" („Nauki wielkiej artylerii część pierwsza"), wydanym w Amsterdamie w 1650 r.

Jak sam tytuł wskazuje, była to tylko pierwsza część dzieła, w napisaniu drugiej przeszkodziła śmierć. Należy zaznaczyć, że druga część dopisał Daniel Elrick i obie ukazały się we Frankfurcie w 1676 roku.

Mimo napisania tylko pierwszej części dzieła wystarczyła ona, by Siemienowiczowi zjednać sławę najznakomitszego artylerzysty oraz przydomek „ojca artylerii". Dzieło jego przez około 150 lat uważane było za najlepszą książkę z dziedziny artylerii a z dziedziny rakiet w szczególności.

Dzieło Siemienowicza „Artis magnae artilleriae pars prima" składa się z pięciu ksiąg, z których trzecia — „De rochetis" („O rakietach") zawiera bardzo dokładne wiadomości o technice rakietowej

W księdze „O rakietach" liczącej 28 stron i zawierającej aż 69 rycin Siemienowicz porusza takie zagadnienia, jak klasyfikacja rakiet, stosunek długości rakiety do jej średnicy, zestaw napędowy, zagadnienie produkcji i inne.

Siemienowicz opisywał nie tylko rakiety służące do celów rozrywkowych ale również i rakiety wojskowe. Bardzo znamiennym jest opisywanie Siemienowicza rakiet posiadających stateczniki o kształcie delta oraz rakiet wielostopniowych. Warto tu zaznaczyć, że patent na rakietę wielostopniową otrzymał dopiero w 1911 r. Belg — Andre Bing, a pierwszą taką rakietę o nazwie „Rheinbote" („Posłaniec Renu") skonstruowali w czasie drugiej wojny światowej Niemcy i około 20 sztuk tych rakiet wyrzucił na Antwerpię.

GENERAŁ JÓZEF ZACHARIASZ BEM I KORPUS RAKIETNIKÓW

W niespełna dwa wieki później rakietami zajmuje się na szeroką skalę generał Józef Zachariasz Bem (1794 — 1850). Żołnierz, wódz, rewolucjonista, dyplomata, historyk i technik w jednej osobie — oto krótka charakterystyka jego osoby.

Pierwszy raz w warunkach bojowych styka się z rakietami Bem w 1813 r. jako porucznik artylerii konnej podczas oblegania Gdańska przez Anglików w czasie wojen napoleońskich. Anglicy zastosowali wówczas rakiety zapalające konstrukcji Congreve'a, które spowodowały spalenie śpichlerzy z żywnością, co zmusiło załogę do poddania się. W dalszych latach, już w randze kapitana artylerii konnej, na zlecenie późniejszego szefa sztabu korpusu artylerii gen. Piotra Bontempsa, Józef Bem zajmuje się badaniem działania i sposobów fabrykacji rakiet systemu Congreve'a (generał angielski często uważany niesłusznie za twórcę rakiet). Rezultaty swych prac ogłasza drukiem w książce pt. „Doświadczenia nad rakietami zapalającymi systemu Congreve'a, zebrane do roku 1819 w Królewskiej Polskiej Artylerii i przekazane przez Józefa Bema Jego Cesarskiej Wysokości Wielkiemu Księciu Konstantemu, Naczelnemu Wodzowi Królewskich Polskich Wojsk", która została wydana w 1820 r. w Weimarze. Praca Bema została przetłumaczona na język francuski i niemiecki.

Na kilkudziesięciu stronach tej książki Bem — 24-letni inżynier — wyjaśnia sposób budowy i działania rakiet Congreve'a oraz pokazuje maszyny i urządzenia stosowane do produkcji i prób.

Na uwagę zasługuje fakt, że podczas prób w Arsenale Warszawskim, gdzie Bem własnoręcznie produkował do swych doświadczeń rakiety, wybuchł przedwcześnie ładunek prochowy. Podczas tego wypadku Bem odniósł wiele ran. Tylko dzięki długim wysiłkom lekarzy udało się uratować mu wzrok. Jego twarz została jednak już na całe życie podziobana bliznami ran odniesionych w tym wypadku.

Podczas swych prac nad rakietami w Arsenale Warszawskim Bem pracował również nad wyrzutniami rakietowymi. Między innymi brał on udział przy konstruowaniu łoża rakietniczego, które znajdowało się na uzbrojeniu Korpusu Rakietników. Głównym konstruktorem tego łoża był kapitan Józef Kosiński.

Bem nie tylko zajmował się próbami rakiet, ale jako dowódca wprowadzał na zlecenie swych władz artylerię rakietową do oddziałów. W 1823 roku w wojsku Królestwa Kongresowego utworzono Korpus Rakietników w sile półkompanii, która w 1831 roku przekształcono w baterię lekkiej artylerii konnej. Dowódcą Korpusu Rakietników został mianowany generał brygady Piotr Bontemps. Polscy rakietnicy z powodzeniem stosowali rakiety podczas bitwy w Olszynce Grochowskiej przeciwko wojskom rosyjskim.

Wiele zasług przy organizowaniu Korpusu Rakietników położył właśnie Józef Bem. Jednakże za kontakty z tajną organizacją wolnościową Waleriana Łukasińskiego został Bem usunięty z Korpusu i z więzienia wyszedł tylko za wstawiennictwem swego dowódcy. Od rakiet został jednak już odsunięty. Mimo to myśleć o nich nie przestawał. Znacznie później w okresie Wiosny Ludów, jako wódz powstańczych wojsk węgierskich generał Józef Bem stosuje również z powodzeniem w swych operacjach wojennych rakiety. Po upadku powstania węgierskiego stary już Bem uchodzi do Turcji, skąd jest internowany do Aleppo (płn. Syberia) i tam umiera 10 grudnia 1850 roku z dala od wszystkich i zapomniany przez wszystkich.

Dziś, gdy technika rakietowa święci triumfy, postacie Sebischa, Siemienowicza i Bema nabierają nowego blasku. Chociaż prace ich nie

przedstawiają już wartości naukowej, to jednak w historii światowej techniki rakietowej ci Polacy zapisali się na zawsze.

JERZY DAGOBERT

Operacja „LEW MORSKI"

Tymczasem na wyspach brytyjskich w szybkim tempie formowano, przeszkalano i dozbrajano dwadzieścia dziewięć dywizji piechoty i samodzielnych brygad. I dopiero we wrześniu — kiedy angielski wywiad lotniczy stwierdził koncentrację armii niemieckich w portach nad kanałem La Manche — nastąpiło przegrupowanie owych piętnastu dywizji z wybrzeża wschodniego na południe. Ale o tym Hitler nie wiedział.

W lipcu i sierpniu Anglicy rozbudowali system obrony wybrzeży. Wokół całej wyspy rozmieścili betonowe bloki jako zapory przeciwpancerne. Również na wszystkich ważniejszych szosach wybudowano płonące zapory przeciwpancerne. Był to system barykad i rowów, które w chwili zagrożenia miano napełnić ropą przechowywaną w zbiornikach. 24 sierpnia niemiecki wywiad lotniczy doniósł, że Anglicy zapalili wody w zatoce Solent. Była to generalna próba jednego z najbardziej oryginalnych pomysłów desperackiej obrony, na jaką zdecydowali się Anglicy. Pomysł zapalenia wód przybrzeżnych przy pomocy rozlania i zapalenia ropy naftowej i benzyny powtórzono raz jeszcze w zatoce Studland. Z polecenia Goeringa wywiad nie przekazał tych wiadomości Hitlerowi. „Nie należało powiększać wątpliwości, które i tak nurtowały Hitlera" — powiedział później Canaris Goeringowi.

Anglicy byli zdecydowani bronić się wszelkimi środkami. Kiedy przedstawiciel „Timesa" zapytał brytyjskiego premiera, co by się stało, gdyby Niemcy zdołali wtargnąć na wyspy brytyjskie, Churchill odpowiedział: „Sądzę, że Niemcy nie zawahaliby się przed stosowaniem terroru, my zaś nie cofnęlibyśmy się przed niczym".

Na wyspach brytyjskich w owe tragiczne dni 1940 roku mało kto wiedział, że rząd i sztab generalny rozważa możliwość zaatakowania przyczółków mostowych niemieckich wojsk inwazyjnych iperytem. Miała to być ostateczność w wypadku, gdyby zawiodły wszelkie inne środki obrony.

* * *

Niemiecka ofensywa powietrzna rozwijała się i nic nie wskazywało na jej załamanie. Równolegle z operacjami Luftwaffe przygotowywała się do inwazji marynarka wojenna. W miarę, jak zbliżał się termin inwazji, pozycja admirała Raedera stawała się coraz bardziej nieprzyjemna. Na posiedzeniu w Berghof, Raeder przedstawił w dramatycznych słowach żałosny obraz transportu morskiego. Powiedział on: „Podstawowymi środkami transportu dla niemieckiej floty inwazyjnej będą duże barki rzecznej i morskiej żeglugi przybrzeżnej obsługujące porty niemieckie, holenderskie, belgijskie i francuskie. Są one wyposażone w silniki, ale moc motorów nie gwarantuje przejazdu barek przez kanał. Dlatego wydałem polecenie, aby większość barek była holowana przez statki motorowe lub parowce. Większość barek wymaga przeróbek technicznych pozwalających na załadowanie ludzi, koni i pojazdów".

W drugim rzucie miały iść średnie parowce, w trzecim zaś duże łodzie motorowe oraz zarekwirowane łodzie rybackie.

21 sierpnia 1940 roku o godzinie 9.30 rano Raeder meldował Hitlerowi, że w portach zgromadzono sto sześćdziesiąt sześć statków na sto siedemdziesiąt potrzebnych oraz tysiąc czterysta dziewięćdziesiąt barek na tysiąc dziewięćset dziesięć niezbędnych. Jeszcze gorzej było z holownikami. Na trzysta dziewięćdziesiąt zgromadzono tylko sto dziesięć. Natomiast dowódca wojsk lądowych Brauchitsch zgromadził trzydzieści doborowych dywizji stanowiących pierwszy rzut wojsk inwazyjnych. Dwadzieścia sześć dywizji przeznaczonych do formowania następnych rzutów ulokowano we Francji i Belgii. Intensywnie przeprowadzano próby skonstruowania „czołgów krokodyli" pełzających po dnie morskim, które mogłyby pomieścić po dwustu żołnierzy oraz pneumatycznych łodzi szturmowych.

W wielkiej tajemnicy przygotowano w rejonie Gandawy St. Omer i Rouen olbrzymie zapasy amunicji i ponad dziesięć milionów litrów benzyny.

W tym czasie, kiedy szefowie poszczególnych rodzajów broni przygotowywali warunki ostatecznego rozgromienia Anglii, w Berlinie w pobliżu Placu Poczdamskiego przy Prinz Albert Strasse VIII w Głównej Kwaterze Reichsführera Henryka Himmlera sporządzano szczegółowe instrukcje dotyczące budowy i organizacji olbrzymich obozów, w których mieli znaleźć pomieszczenie jeńcy wojenni i wszyscy cywilni Brytyjczycy w wieku od lat 17 do 45. Szef Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy Heydrich ustalił listę obejmującą dwa tysiące siedmiuset Brytyjczyków i aliantów podlegających natychmiastowemu aresztowaniu.

Na liście znajdowali się wyżsi urzędnicy administracji brytyjskiej, profesorowie uniwersytetów, członkowie ambasad itp. Listę otwierali Churchill i de Gaulle.

Heydrich wydał również przewodnik-informator, w którym omówił wszystkie organizacje żydowskie, koncerny przemysłowe, zakłady energetyki i zaopatrzenia, doki, jednostki policji, stowarzyszenia religijne, komunistów, wywiad brytyjski a nawet... harcerstwo. Heydrich powierzył wykonanie tego zadania osławionemu pułkownikowi SS dr Sixowi.

Wszystko było już przygotowane. Teraz należało cierpliwie czekać spełnienia pierwszego i zasadniczego warunku: zwycięstwa Luftwaffe nad lotnictwem brytyjskim. Od dnia 15 sierpnia w dużej sali malinowej zamku Ziegenberg jedyną lekturą, którą zajmowano się bez względu na ustalony program pracy i posiłków były komunikaty lotnicze opracowywane przez sztab Goeringa. Bowiem od tego dnia szala powodzenia w Battle of Britain zaczęła się przechylać na korzyść lotnictwa brytyjskiego.

INSTRUKCJA NR 17

Do bitwy powietrznej o Wielką Brytanię Luftwaffe rzuciła pięć tysięcy sześćset samolotów. Bywały dni, że Goering wysyłał przeciwko Anglii zgrupowania, w których znajdowało się tysiąc samolotów. Przeciwko tym samolotom lotnictwo brytyjskie mogło wystawić siedemset dwie maszyny myśliwskie typu Spitfire i Hurricane. To tłumaczyło dlaczego Goering był jedynym człowiekiem, który wierzył bez żadnych zastrzeżeń w realizację planu „Lew morski".

D. c. n.

Zdjęcia: E. KUDAJ

OSTRY DYŻUR

Z wypadku! Nic nie pamięta Tylko ból. Dlaczego tak boli?

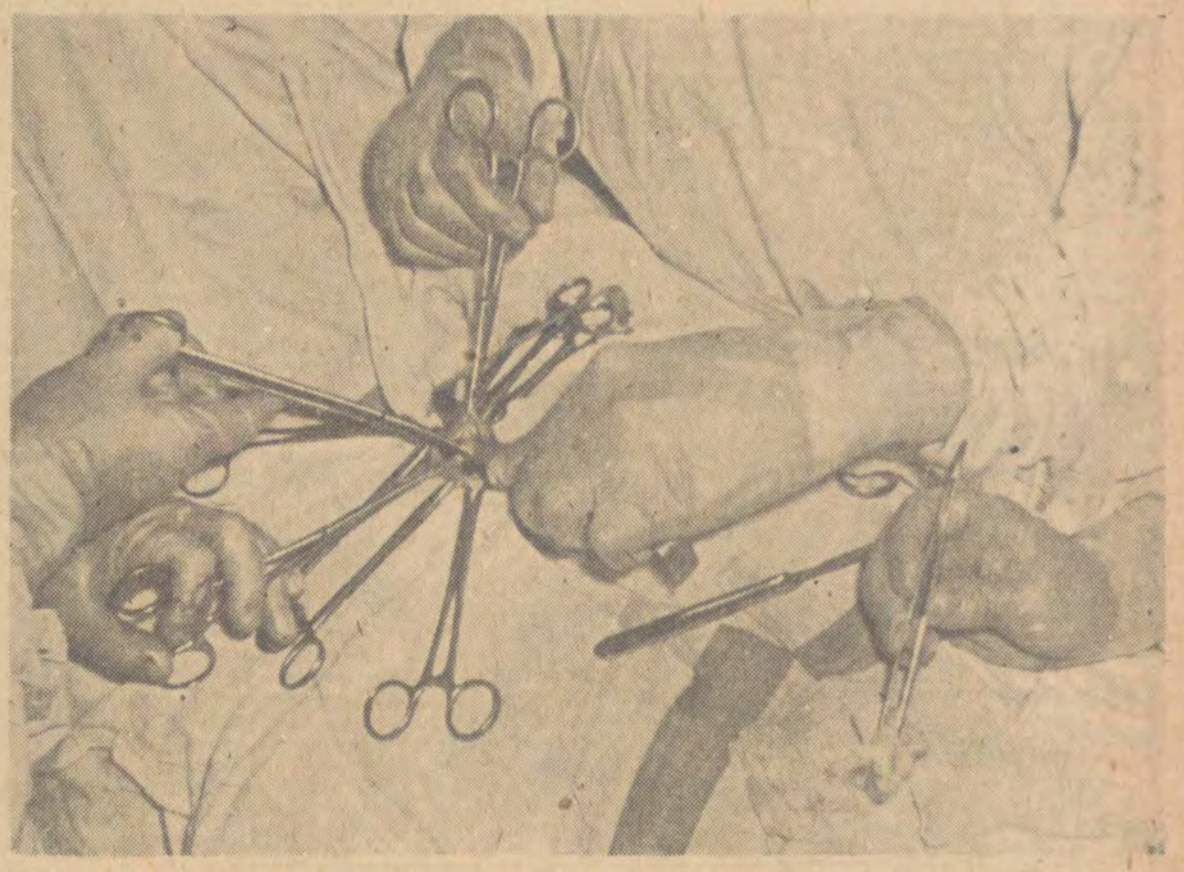

W bieli operacyjnego pola — plątanina szczypiec, ludzkich palców płótna. Czekanie na krzyk długi, przeraźliwy. Zamiast krzyku — opanowane głosy lekarzy

(Dokończenie ze str. 1)

wiedzący, najważniejszy. Operacja. — To ta od monopolu, staruszka — informuje z uśmiechem.

— Ileus [1]) — mówię spokojnie — podobno ileus.

— To pan się już trochę oswoił?

A potem na wszystko braknie czasu: Sala operacyjna wita wciąż tym obcym, matowym światłem bezcieniowej lampy. Staruszka już leży na stole, pan Kazio krępuje jej ręce i nogi pasami do metalu. Lekarze rozmawiają swobodnie o czymś banalnym, codziennym, nie patrzą na nią.

Klamry i pasy, żebyś się nie mógł wycofać, żeby w normalnym, ludzkim odruchu nie powiedzieć — nie, ja się boję, zostawcie mnie w spokoju.

Brzuch pacjentki wzdęty, uwydatniony przez światło lampy. Uwydatniony przez śmierć, która w nim tkwi, tam w środku, w żywym ciele.

— Ząbki są? — Brutalność pytania zaskakuje jak nagłe zbliżenie kamery.

— Nie ma, nie ma.

Przecież ona się boi. Eter, od razu słodki, syk aparatu do anestezji [2]), tlen w pogotowiu kroplówka.

— Można zaczynać?

Wszystko lśni: kafelki w sali, lampa, biały metal. Znowu chirurgiczna serweta i potem tyko żywe ciało w wąskiej szczelinie operacyjnego pola.

— My nawet nie wiemy, co w tym brzuchu będzie.

Jakie to wszystko rzeczowe. Brzuch kobiety już otwarty. Palce chirurgów dotykają kiełbasek jelit.

— Zrosty po wyrostku operowanym rok temu. Miała szczęście, a teraz...

Syczy aparat do anestezji, potem cisza, delikatnie warczy transformator.

Wreszcie koniec. Zaczynają szyć. Akurat minęła godzina. Pot ścieka mi po policzku maleńką kroplą.

— Czy ona będzie żyła? — pytam podstępnie, choć z góry wiem, wiem co powiedzą.

Pośpieszne błyski igły. Potem głos:

— Rokowanie niepewne, ten wiek, mogą się porobić nowe zrosty.

Jeszcze pięć minut. Więc po to ból, strach, krew? Rokowanie niepewne. Dwa obojętne słowa — synonim śmierci.

Czy to jest kłamstwo? Czy medycyna kłamie? W korytarzu kroki nieustanne, potem ludzkie twarze w izbie przyjęć. Młoda kobieta siedzi na stole zabiegowym, lekarz wbija jej w ramię igłę zastrzyku. Trzy metry dalej stara kobieta ze spuchniętą ręką w gipsie Niedawno złamała rękę, w dodatku źle nałożyli gips. Teraz z Pogotowia przysłano ją tutaj. Zięć czeka za drzwiami w korytarzu wysłany pewno przez żonę. Jeszcze jedna karetka — młoda dziewczyna, dwadzieścia trzy lata, podejrzenie wyrostka. Sadzają ją chwilowo na krzesełku, bo brakuje miejsca. Mąż, drobny chłopak ze sterczącymi wąsikami, stoi obok niej oszołomiony zapachem leków, światłem, ludźmi.

Oto ludzie schwytani nagle. Wyszli z anonimowego tłumu na ulicach, tam na Piotrkowskiej, z kawiarni, z dansingów, Przychodzą tutaj, skarżą się, proszą o pomoc. Zwierzają się ze swych intymności, z bólu ukrytego nawet najgłębiej. Oni wierzą, przychodzą tutaj z wiarą i nikt nie ma prawa odbierać im tej wiary.

Trzeba się przyzwyczaić jak do eteru, jak do zgrzytu pośpiesznie zatrzaskiwanej windy. Oni przychodzą tutaj, żeby żyć. A czy ty schwytany jak oni, nie przyjdziesz tutaj po życie, czy nie będziesz go wypatrywał na instrumentach medycznych, na białych kaflach?

Nowe kroki przy windzie, w korytarzu, tuż obok zaplecami, potem w sali przyjęć.

— Zobaczy pan takich, co w szpitalu po pięćdziesiąt razy. Tutaj na górze jest taka kobieta. Trzynasta operacja. Tej trzynastej się bała, przesądna.

Kroki uparte na korytarzu: staruszek, chłopak, matka z chłopcem, pielęgniarze z noszami.

— Brak miejsc — mówi cicho lekarz. — W Łodzi brakuje 300 łóżek chirurgicznych.

Konkretny, namacalny świat ludzi chorych. Wyolbrzymiony ból, inny niż wszystkich, najważniejszy.

Ostry dyżur trwa dwadzieścia cztery godziny, od ósmej do ósmej, po dyżurze prosto do pracy. Potem często jeszcze jedną noc w pogotowiu. Więc jak im to odpowiedzieć?

Dostałem list od robotnika, Jana Harasimowicza. Uległ w pracy wypadkowi, miał zmienić opatrunek za trzy dni, lekarz dyżurny w Szpitalu Pirogowa nie chciał mu udzielić pomocy. **„W imieniu tych chorych robotników wymagających troskliwego zajęcia się ich kalectwem, którzy onieśmieleni stają przed lekarzem, nie zdając sobie nawet sprawy, jak każda godzina może zaważyć na ich życiu, a w najlepszym wypadku na ich powiększonym kalectwie — proszę uprzejmie o przeprowadzenie dochodzenia i uregulowania sprawy pomocy lekarskiej w szpitalach pełniących tzw. „ostry dyżur".** „Tak napisał. A jeśli w szpitalu nie było miejsca? Jeśli trzeba dokonać wyboru między życiem a kalectwem, jeśli w tym czasie robili operację?

— Ja bym go przyjął — mówi lekarz. Tylko tyle, rozumiemy się dostatecznie.

Kroki w korytarzu cichną nagle. Potem tylko charakterystyczny chód pana Kazia.

— Na razie starczy, można spać.

— Która to godzina?

— Zeszłym razem skończyliśmy po południu — mówi pan Kazio.

* * *

Jeszcze raz korytarz, schody, tabliczka nad drzwiami: I Klinika Chirurgiczna. Stoję na chodniku. Niedziela rano. Wesoły tłum ludzki. Obok mnie chłopak z dziewczyną, idą, trzymają się za ręce.

— Nie tak mocno, bo boli — śmieje się dziewczyna.

Inne, obce światło ulicy.

KONRAD FREJDLICH

1) ileus — niedrożność jelit.
2) anestezja — znieczulenie.

EDMUND PIETRYK

Wychodzący z kina

Na lasso złapie pan aptekarz
tego cholerę Wawrzyniaka
dumnie wypina biust i kuper
Helka jak dama spiekła raka

miasteczko to bezkresna preria
z tabunem rozbieganych koni
fantazja szewca na rumaku
rudawą Helkę dziś dogoni

po rynku biega wyobraźnia
z szykiem kuśtyka więc pokraka
na lasso dziś aptekarz złapie
starego drania Wawrzyniaka

całować tak jak ten z ekranu
szewcowi aż policzki płoną
fantazja gdzieś ucicha ginie
w łóżku ze swą banalną żoną

Wspomnienie

Więc już przez kilka chyba lat
los mnie wytrwale pcha ku górze,
więc idę za fortuną w ślad
w modnym krawacie, garniturze.

Mieszczańskich kilkanaście cnót
pojąłem szybko uczeń zdolny,
wiem co to nędza, mniej co głód,
gest bardziej pewny i powolny.

Solidnym szlakiem krocze rad,
gdzież się podziały drogi krete?
Gdzie pięści szukające zwad?
Mnie wszystko to przejmuje wstrętem.

Uśmiechów sztucznych metny śluz,
rachunki uczuć aptekarzy.
Mnie kiedyś najdotkliwszy guz
i cios bolesny tak nie parzył.

Tylko czasami tu przychodzi,
wspomnienie zapach znany niesie,
z dawnych bijatyk krew zakrzepła
przynosi szumem swym Polesie.

I w nagłym upojeniu wznosze
spuszczona głowę swą ku górze,
po co ja tutaj przybysz z lasu
zbłąkany w modnym garniturze?

Pastelowy pejzaż

Słońce wzeszło ponad szczyty
szmer strumienia się oddala
nad kwadratem pól wzlatują
lecą anioły Chagalla

a ze szczytów spływa zieleń
strumień płynie w takcie marsza
to jak gdyby tu Picasso
namalował zwykły landszaft

strumień płynie w takcie walca
tam się złoca zbocza nagie
to jak gdyby sam Strawiński
skomponował stary szlagier

MELPOMENA w rozjazdach

MARIAN ZDROJEWSKI

Żeby oddać prawdę o pracy Teatru Ziemi Łódzkiej, o ludziach tego teatru, warunkach, w jakich pracują, trzeba by było zaangażować na rok specjalistów, którzy napisaliby: socjolog — rozprawę pt. „Rola teatru objazdowego w kształtowaniu poziomu kulturalnego prowincji, czyli rzecz o Teatrze Ziemi Łódzkiej", psycholog — pracę habilitacyjną pt. „O złożoności psychiki aktora teatru objazdowego, czyli rzecz o końskim zdrowiu i umiłowaniu zawodu", lekarz medycyny — pracę doktorską pt. „O wytrzymałości organizmu aktora teatru objazdowego", prozaik — powieść „Z życia wędrownego aktora", satyryk — felietony satyryczne pod wspólnym tytułem „Krowa — mecenasem Melpomeny". Powiem więcej: każdy z nich napisałby po trzy prace: pierwszą poświęconą kierownictwu teatru, drugą zespołowi aktorskiemu, trzecią — technicznemu.

Oto, moi drodzy, obiekcje dla których nie jestem pewien, czy zdołam oddać sprawiedliwość ludziom o gorącym sercu, o których się mało pisze, a którzy, kto wie, czy nie najwięcej zrobili i robią dla sprawy kultury na prowincji.

KROWA — „MECENASEM" MELPOMENY

Z tym „krowim mecenasostwem", o którym wspomniałem, to święta prawda. Tak. I jeszcze jedno, niechże Was nie denerwują takie zwroty, jak „wyjeżdżam do Skapena". Chodzi o to, że są trzy zespoły teatru. Każdy z innym spektaklem wyjeżdża do miejscowości, w której zatrzymuje się na kilka czy kilkanaście dni i stamtąd odbywa jeszcze codzienne wyprawy do okolicznych miejscowości. A zespół, który odwiedziłem w Radomsku gra „Szelmostwa Skapena" Moliera.

A teraz jeśli chodzi o te „krowę — mecenasa". W Łodzi, kiedy zbliża się godzina 19, w teatrze zaczyna się defilada wystrojonych pań i panów, a o 19.15 gong, kurtyna i spektakl. Tutaj jest inaczej: widz nie czeka na aktora, tylko aktor czeka na widza. Sądzicie, że na wsi gospodarz zrezygnuje z wydojenia krów czy oporządzenia trzody na rzecz teatru? Tutaj spektakle rozpoczyna się o godzinie dwudziestej, a niekiedy — w oczekiwaniu na przybycie właścicieli wykupionych biletów — czeka się pół czy nawet godzinę dłużej. I tak na frekwencję wpływa udój krów, wesele we wsi, zabawa.

Aż dziw bierze, że ci ludzie „od Skapena" nie tracą humoru. Ja — przyznam się — nietęgą miałem minę, jadąc wielkim autobusem — landarą z bazy na spektakl (Po cóż temu teatrowi takie wielkie autobusy? Nie wystarczyłoby mały, dwunasto-trzynastoosobowy, bardziej ekonomiczny wóz?) Jedzi to (oczywiście autobus), roztrzęsione, klekocząc drzwiami, szybami, na wyboistych drogach, wprowadzając pasażerów w konwulsyjne drgawki. I jak tu miałem zachować przyzwoity humor, skoro co rusz to łbem uderzałem w metalowe oparcie fotela? Ale aktorzy już widać do tego przywykli.

Codzienna wędrówka samochodem po wyboistych drogach, spektakle i powroty do hotelu późną nocą nie są dla nich nowością. Wędrując przez kraj, wspominają przeróżne „dziwy" ze swoich podróży. Oto w Aleksandrowie na przykład do oryginalnego Bechsteina troskliwi gospodarze przybili skobel i umocowali kłódkę; to znów po tegorocznym tournee po Pomorzu przyszło uznać, że najbrudniejszym miastem w kraju jest Świnoujście...

Im bliżej byliśmy Gomunic, tym częściej rozmowy poczęły grawitować w kierunku mającego się odbyć spektaklu. A więc na plan pierwszy wysuwała się sprawa frekwencji, publiczności, widzu sali. I oto wreszcie Gomunice — osada rozrzucona po obu stronach piaszczystej drogi. Spektakl odbywa się w Domu Kultury przy Fabryce Ceraty. Jest tu dość duża sala widowiskowa, garderoba, palarnia i jak to zwykle bywa — szczupłe zaplecze sceniczne. I o dziwo! Wystarczyło kilka magicznych słów, jak np. „komplet", „trzyma", „dobra jest" i widok obszernej, stosunkowo, sali, ażeby niepokój prysł z miejsca. Zaraz wszyscy poczuli się jak w gościnnym domu. Znów się posypały dowcipy i opowiastki z życia zespołu, które przeszły już w anegdotę. O tym jak to ktoś z obsługi technicznej nie mógł podnieść kurtyny mimo rzęsistych braw, ponieważ jedna z aktorek wplątała się w kurtynę; albo jak to podczas jednego ze spektakli w miejscowości X tamtejszy nauczyciel w sposób arcyzabawny rozgrzewał widownię, a więc siadał na stopniach prowadzących na scenę i — w miejscach nie zawsze stosownych — dawał znak do oklasków.

Po ilości poprzylepianych do okien dziecięcych twarzy znać było, że w sali znajdują się rzadko widziani ludzie, których w dzieciństwie zwykliśmy traktować jak gości z innego świata. Tymczasem za kurtyną praca wre pełną parą. To zespół techniczny wyposaża scenę w oprawę scenograficzną. Ileż troski wkładają ci ludzie w utrzymanie dekoracji, żeby wytrzymała ona po sto kilkadziesiąt przedstawień.

Ale dość na razie o teatrze. Przyjrzyjmy się teraz tym, dla których trwają przygotowania.

SKAPEN NA SCENIE

Okazuje się, że gorączką ogarnięci są nie tylko aktorzy i zespół techniczny, ale wszyscy mieszkańcy Gomunic. Począwszy od najmłodszych na najstarszych kończąc. Z tym jednak, że najmłodsi, nie mający szans oglądania przedstawienia, wynieśli się z zabawami z własnych podwórek pod Dom Kultury. Dla nich już sam fakt postoju dwóch samochodów jest wspaniałym przedstawieniem. U starszych sprawa pójścia do teatru jest bardziej złożona. Nie ze względów finansowych — tutaj ludzie pieniądze mają (fabryka plus gospodarstwa rolne). Chodzi raczej o względy ambicjonalne: kto z kim, jak i w czym — a to są problemy nie lada.

Ten stan podniecenia daje się odczuć wśród młodzieńców przestępujących z nogi na nogę, stojących gromadkami, do których co rusz podbiegają zarumienione dziewczęta z włosami poskręcanymi w papilotach, wśród niewiast zagubionych w małych lusterkach ustawionych w oknach — wszak to jedna z wielkich szans pokazania „że nie jestem gorsza od niej, choć mi go zabrała". No i wreszcie jest to bądź co bądź prawdziwy teatr z Łodzi, a nie ten „na niby" z domu parafialnego.

Dzisiejsza wieś, to nie ta sama, co przed kilku laty.

Nawet motocykle podjeżdżające pod Dom Kultury nie wzbudzają większego zainteresowania.

Tymczasem za kulisami dobiega końca charakteryzacja aktorów. Panie przeglądają garderobę, na widowni i przy wejściu działa zespół techniczny i szoferzy, którzy ukończywszy swoje czynności zamienili się w bileterów i pilnują porządku na sali. Wreszcie światła gasną. Widownia ucisza się. Słychać tylko skrzypienie nowego albo rzadko używanego obuwia spóźnialskich, których wita sykanie. Kurtyna, na scenie pierwsze sceny „Szelmostw Skapena".

Nie będę zajmował się recenzowaniem spektaklu — nie moja to rzecz. Wystarczy jeżeli powiem, że już pierwsze kwestie molierowskich postaci zdobyły sobie widownię. A już dowcipne wybiegi szelmy — Skapena, który usiłuje przechytrzyć ojców Oktawa i Leandra, wzięły ostatecznie w swoje posiadanie rozbawioną publiczność, którą tak dalece pochłonął spektakl, że kiedy Skapen sławiąc swoje bohaterstwo i oddanie przed ukrytym w worku panem Gerontem, mówi doń: „...Patrz pan, ile tu trupów" — publiczność, unosząc się z miejsc wyciąga szyje wypatrując na scenie nieboszczyków, których rzecz prosta, nie ma.

W czasie przerwy palarnia była pusta, wszyscy siedzieli na miejscach i oczekiwali dalszego ciągu.

Czy wiecie, co mówią na wsi o tym teatrze?

„Ten zespół zasługuje na najszczersze słowa uznania". „...Nasz kochany teatr, żeby tylko częściej przyjeżdżali"... Są to słowa, które stanowią chyba dowód największej pochwały.

Oklaski, wywołujące po kilkakroć aktorów, zakończyły spektakl. Do północy pozostało już niewiele czasu. Teraz zespół techniczny pracuje w zdwojonym tempie.

Wychodzących do autobusu aktorów żegnają grupki roześmianych ludzi. I znów męcząca podróż po wyboistych drogach, hotel i perspektywa dalszych wędrówek.

W POGONI ZA ANIOŁAMI

Pojechałem w pogoń za „aniołami". „Anioły" czyli „Nie jesteśmy aniołami" to tytuł spektaklu, z którym zespół teatru pojechał do Gostynina.

„Nie jesteśmy aniołami", to debiut sceniczny młodej pisarki węgierskiej, Klary Feher. Sztuka na wskroś współczesna, poruszająca do dziś nie rozwiązany problem młodego małżeństwa, któremu ma przybyć drugie dziecko. Problem jest dość ważki: Co zrobić? Kto ma prowadzić dom? — Kto — jeżeli małżonkowie pracują — zaopiekuje się dziećmi? Ach prawda, istnieje przecież „instytucja kochanych mamuś". A więc nic prostszego jak namówić matkę do zrezygnowania z własnych ambicji nauczycielskich, z zagubionych w młodości uczuć. I oto problem. Matka przenosi się do córki i zbiera cięgi za winy popełnione i niepopełnione.

Tę krótką charakterystykę podaję nie bez powodu. Sztuka jest jak najbardziej współczesna, wydobywa problem spotykany co dzień. Jak będzie przyjęta wśród powodzi sztuk unikających poruszania problemów dnia codziennego, jak będzie przyjęta właśnie tu, w małej osadzie, gdzie widz skłonny jest traktować to, co rozgrywa się na scenie nie jako fikcję, ale jako „kawałek" życia?

To pytanie skłoniło mnie do przeprowadzenia kilku błyskawicznych ankiet w czasie przerw. Odpowiedzi 10 zapytanych kobiet w wieku matki — bohaterki spektaklu „co pani sądzi o spektaklu?" były co najmniej zastanawiające. — „...Przedstawienie powinny obejrzeć nasze dzieci, może zrozumiałyby nas". „...Nigdy nie poszłabym do moich dzieci na pańszczyznę". „...Wiedziałam, że jest mi u moich dzieci źle, ale nigdy nie wiedziałam dlaczego, uważałam, że tak już musi być".

Wśród 10 zapytanych kobiet w wieku drugiej bohaterki spektaklu — córki, takie zanotowałem wypowiedzi: „...Dopiero teraz zobaczyłam rolę matki w moim domu", „...Nigdy bym nie pozwoliła uprzykrzać życia mojej matce", „ Może i matka moja przeżywa to samo".

Tak odbiera sztukę widz, który po raz pierwszy niekiedy styka się z prawdziwym teatrem. Z teatrem często niedocenianym i niedostrzeganym — a przecież będącym najdalej chyba wysuniętą placówką upowszechniania kultury, a przecież wędrującym z uporem, zawzięcie, ku nowemu widzowi.

Ostatni papieros przed spektaklem *Fot. H. Kozakow*

Za kulisami... *Fot. H. Kozakow*

Autobus czeka, odjeżdżamy... *Fot. H. Kozakow*

KAZIMIERZ SZWEMBERG

UCIECZKA Z OŚWIĘCIMIA

Herbert trzyma całą robotę organizacyjną i łączność z naszym kierownictwem w Oświęcimiu. Witek nam sprzyja, nie chce niby o niczym wiedzieć, ale my wiemy, że miał też uciekać kanałem. Witek zawsze podejdzie lagerarzta i melinuje naszych w szpitalu. I Herbert i Zdzisiek zgadzają się, że lepiej będzie jak ja zwieję. Trzeba próbować z kopalni. Może podczas drogi? Zdzisiek dał kostkę margaryny i kiełbasę capo z popołudniowej zmiany w Gawiszowicach. Boję się, że stanie mu to kością w gardle. Tymczasem ja będę z kilkunastoma więźniami pracował w ścianie i przy transporcie w ścianie. Parszywa robota. Pokład bardzo niski. Cały czas na brzuchu lub kolanach.

Przywieźli dziś bieliznę. Udało mi się zorganizować cywilną koszulę i kalesony(!) Te ostatnie podwiązane pod kolana mogą nawet imitować angielskie spodnie. Schowałem na dole w kopalni.

Nasza zmiana wraca do obozu przed północą. W czasie drogi kolumna rozciąga się na kilkadziesiąt metrów. Z boku rzadko oświetlają ją lampy górnicze. Ci w przodzie idą zwawym, równym krokiem. Idący w tyle gubią tempo. Wielu śpi w marszu. Niekiedy ktoś potknie się. Zaspani więźniowie przewracają się. Zanim czoło przystanie, powstaje znaczna luka w kolumnie. A gdyby tak zorganizować rozerwanie kolumny? Kolumna mija właśnie jakiś dom. Zaraz zaczną się przydrożne zarośla. Szedłem z boku, tuż za niosącym lampę. Podłożyłem nogę sąsiadowi i patrzę co się będzie działo. Sąsiad przewraca się. Wśród idących w tyle — zamieszanie. Czoło maszeruje dalej. Nim okrzyki: „halt"! i „aufgehen!" przywróciły porządek w kolumnie, minęło kilkanaście sekund. Ciemna luka w kolumnie powiększyła się. Gdybym teraz wyskoczył w przydrożne zarośla, konwojenci nie od razu zdecydowaliby kto ma gonić zbiega. Gdyby tak jeszcze nie było księżyca! Trudniej szukać zbiega w ciemnościach. Zdzisiek mówił, że według kalendarza dopiero za 10 dni księżyc wzejdzie po 11. Czy nie będzie za późno?

Ale to jest zbyt piękne, aby mogło być prawdziwe. A jednak na Zdziśka oczekiwał w mleczarni Kostek Jagiełło. Zdzisiek uciekł jeszcze w czerwcu z Oświęcimia. Pytał o mnie, powiedział nawet, że muszę uciekać z obozu. Kostek nie był tym zaskoczony. Sądzi, że będzie mi mógł pomóc w ucieczce. Czeka na moje projekty.

Gdy ranna zmiana szykowała się do pracy w kopalni, ja zasypiałem. Śniła mi się wolność. Obudziłem się późno. Za oknem płot, na izolatorach druty kolczaste.

Pisałem do Kostka że z drogi będzie trudno uciekać. Może łatwiej prysnąć z kopalni w cywilnym ubraniu? Gotów jestem przyjąć każdy jego projekt. Czas nagli, a może to tylko ja jestem skłonny do przesady? Zdzisiek powitał mnie markotny. Kostka nie było w mleczarni. Może jutro coś będzie? Znów dzień niepewności. Teraz sam bez Kostka nic nie zdecyduję.

Następnego dnia Zdzisiek oczekiwał mnie pełen podniecenia. Pytał czy znam Birkuta. Nie. — odpowiedziałem. — Mam od niego list — mówi mi.

Cholerna niecierpliwość! Nie przestrzegam elementarnych zasad konspiracji. Chciałem list czytać zaraz w kąpielisku. Opanowałem się jednak. Inni jedzą kolację w kuchni, a ja czytam w świetle lamp wiszących nad kolczastym parkanem.

„Możliwy jest wyjazd z pompiarzami i elektrykami szybem fedrunkowym z poziomu 230 w Brzeszczach. Ubranie będzie. W przekopie między Jawiszowicami a Brzeszczami będzie łącznik. Czy masz coś lepszego? Napisz. Birkut"

Jak mogę mieć coś lepszego? Birkut ma genialny projekt! Że też dotąd żaden z nas nie pomyślał i nie spróbował tej drogi. Więźniowie nigdy nie wyjeżdżają w Brzeszczach szybem fedrunkowym. Tym szybem idzie tylko urobek, okazuje się jednak, że również i niektórzy pracownicy obsługi nim wyjeżdżają. Dlatego nie zawsze jest tam wartownik.

— Ale kto jest Birkut? Kostek?

— Może.

„Birkut — odpisałem — *Nic lepszego nie wpadło mi do głowy. Zgadzam się na wszystko. Co mam robić?"*.

Zdzisiek przyniósł mi odpowiedź: *„Czekać w kopalni na wiadomość. Na hasło: „Endlich. Alle Häftlinge sind erledigt" odpowiedzieć: „Noch nicht. Aber ich brauche eine Schaufel"*.

Kto wypowie to hasło i dlaczego po niemiecku? Górnicy na dole mówią po polsku. Może sztygar Motyl? — Nie, to kanalia, chociaż kto wie? On zna też język polski.

Minęły dwa dni. Przysłuchuję się pilnie rozmowom. Czyżby wydawało mi się przy wyjeździe? Oberhauer rozmawiał ze sztygarem? Nie. To starszy rębacz pyta sztygara, czy załatwione jest przyjście więźniów do pracy w niedzielę.

W poniedziałek spotkał mnie Motyl na pochylni. Jakoś inaczej oczekiwałem jego nadejścia. Na błysk reflektora, którego widok zwiastował nadejście kogoś z nadzoru cywilnego lub SS-mana, jak każdy więzień starałem się ukryć lub udać mocno zapracowanego. Dzisiaj markowałem czyszczenie transportera i oczekiwałem. Może to jest on? Na moje „Glück auf"... zobaczyłem wszystkie gwiazdy. Pod czapką tętniło w głowie. Racja! Przy spotkaniu z „panem" należało zdjąć czapkę. Nie umiałem wyjaśnić, kto mi kazał czyścić transporter. Zapisał mój numer. Zrobi doniesienie do komendanta obozu. Prysło złudzenie, za to na głowie został guz po kilofie!

Słyszę niespodziewanie — „Endlich. Alle Häftlinge sind erledigt"... Ależ to takie proste! To Nina Pytlik! Z różnojęzyczną masą więźniów mogła się najłatwiej porozumieć po niemiecku.

Chwila zdumienia i potem natychmiast chyba tysiąc razy powtarzam: Noch nicht,, noch nicht, noch nicht... i wyciągam rękę po markę i natychmiast dodaję: Aber ich brauche eine Schaufel".

— Sind sie letzter, also gehen sie mit — mówi Nina.

Idziemy do pobliskiego magazynu, konwojent z nami. Nina wchodzi do środka i za chwilę wzywa mnie wyciągając łopatę. Ten zjazd pod ziemię trwał wiecznie. Ale tak naprawdę był krótki jak zawsze. Z podszybia biegiem do ściany. Daleko w tyle migocą lampy. Nareszcie przez chwilę sam... między łopatą a trzonkiem był list.

Jantar umówił mi spotkanie w pobliżu szybu. Była godzina 18. Przyszedł górnik, który zaprowadził mnie do pobliskiego chodnika. „Tu jest wasze ubranie i peruka. Za tą tamę nikt nie wchodzi, dalej w chodniku jest gaz. Czapkę jeszcze doniosę. Moja prawie będzie dobra. Przed wyjściem będzie na miejscu. Pasiaki i lampę rzucicie w kąt. Na przekopie będzie ktoś na was czekał.

Zdzisiek udawał, że mnie nie dostrzega w kuchni przy kolacji. Nie uszło to uwagi Hansa i mojego capo. Potem szeptaliśmy znów do rana. To chyba już moja ostatnia noc w Jawiszowicach. Jantar przysłał barwny szkic powierzchni kopalni.

— W prawo, jak widzisz, lampownia, w lewo skład drzewa. Dalej hałda i niżej ogrodzenie. Tu gdzie krzyżyk w ogrodzeniu będą czekać. Idąc ponad ogrodzeniem masz gwizdać pierwsze takty „Hej góral, ja se góral". Odpowiedzą ci tą samą melodią.

10 września pół godziny przed końcem szychty mam być na przekopie. Tam na połowie drogi do Brzeszcz będzie czekał łącznik. Już jutro.

Pożegnałem się z Witkiem i Herbertem. Do zobaczenia. 10 września Ninka Pytlikówna miała coś dla mnie. Ale „post" się do nas kleił. Jednak się udało. Z markowni odszedłem z listem. Jantar pisał, że nie dziś a jutro 11 września pół godziny przed szychtą mam czekać na przekopie. Zakląłem. Nerwy. Poszedłem za tamę — czapki nie było. W obozie nie wyglądał mnie nikt z najbliższych przyjaciół. Myślę, że pełnoletnim zostanę już tam. Jutro moje urodziny — pożegnałem ich jeszcze raz.

11 września Ninka witała i żegnała mnie uśmiechem. Bałem się, że może znów coś wypadło. W lampowni, nie wiem dlaczego, pobrałem nie swoją lampę. Chociaż Bronia Dłuciak wiedziała, że to nie mój numer, dała bez wahania żądaną. Musiałem mieć lampę cywilną. Czerwone paski na lampach więźniów widać z daleka. Zbić szkło — będą widoczne jeszcze bardziej. Na podszybiu jest stale widno. Szybowi nie strzegą swoich lamp. Bez większych trudności „zorganizowałem" lampę bez paska. Musiałem mieć czapkę. Zamieniłem swoją w pasy z Węgrem na czarną z żółtym otokiem. Do czapki musiałem dorobić daszek. W ścianie było gorąco. Rębacze pracowali bez marynarek. Leżały odłożone na bok. Musiałem jedną zdobyć i podrzeć na daszek. Formę daszka wyciąłem z pudełka od klamer do transportera. Drut strzałowy z biedą zastąpił nici i igłę. Daszek przyszyłem do czapki. Żółty otok zamazałem smarem i pyłem. Daszek zawinąłem do środka czapki i założyłem na głowę.

Około 6 poszedłem do przodu. Spod wrębiarki kurzyło. Rębacz powiedział, że usmoliłem się tak ładnie, że rodzona matka mnie nie pozna. Rzeczywiście zjechałem rynnami koło swoich nierozpoznany. Przed ósmą powiedziałem moim towarzyszom, że mogą spać, a ja z Grekiem będziemy pilnować na dole. Greka zostawiłem w przecince samego. Poszukałem hak do spinania rynien (hak jest długi i ciężki, na wszelki wypadek dobrze jest mieć w ręku coś takiego) i z cywilną lampką w zawiniątku, a swoją w dłoni szedłem pod szyb.

Szedłem wolno. Przy drzewie zapytałem o godzinę, było dopiero dwadzieścia po ósmej. Trochę za wcześnie. Posiedzę za tamą. Zrzuciłem pasiaki, zawinąłem je marynarką, pod ścianą zdusiłem lampę, nie dała się zgasić. Długo się tam nie paliła, lampy więźniów są najgorsze.

Ubranie z brązowego welwetu było prawie dobre. Marynarka może trochę długa. Natomiast peruka zdaje się trochę odstawała. Założyłem ją na wyczucie, bo nie miałem lusterka, nie było też nigdzie kałuży wody, zaś osłona lampy była zbyt porysowana, aby się w niej przeglądać. Nałożyłem czapkę. Trzymała się czupryny. Nasadziłem ją widocznie za mocno, bo przy zdejmowaniu zleciała peruka. Kilka razy próbowałem zdjąć i włożyć czapkę. Szło coraz lepiej. Peruka już nie leciała z głowy. Nie miałem już zbyt wiele czasu. Poszedłem do szybku. Ludziom pod szybem zbytnio się nie przyglądałem, ani oni mnie. Szedłem równym krokiem w kierunku przekopu na Brzeszcze. W lewej trzymałem lampę, w prawej śrubę. W razie czego gładko ze mną nie pójdzie. W przekopie nikogo. I po śladach było widać że prawie nikt tędy nie chodzi. Doszedłem do tamy. Zaraz za tamą powinien ktoś czekać. Nikogo jednak nie było. Szedłem dalej naprzód. Przystanąłem. Może przyszedłem za wcześnie? Wygasiłem lampę. Ogarnął mnie niepokój. Myślałem, że przyszedłem za późno i tamten nie doczekawszy się odszedł. Ale to niemożliwe — nie mogło być za późno. Musiało coś zajść. Po chwili myślałem, że może lepiej będzie wrócić. Nie. Nie zdążę się przebrać i wrócić do swoich. Teraz nie ma już powrotu.

Z daleka błysnęło światło. To był reflektor. Człowiek, który szedł z reflektorem naprzeciw nie był zwykłym górnikiem. Może to sztygar lub któryś z jego pomocników, albo też SS-mann? Niedobre myśli cisnęły się do głowy. A może łącznik wpadł i dlatego idzie ten z reflektorem? Odpędziłem jeżący się strach. Jeden na jednego, nie jest jeszcze tak źle. Zapaliłem lampę i silniej zacisnąłem śrubę. Po kilku chwilach minęliśmy się z prawie równoczesnym: „Szczęść Boże". Przysłoniłem światło lampy. Obejrzałem się raz i drugi. Gdyby tamten się obrócił, musiałby oświetlić mnie reflektorem. Nie ciekawiłem go. Z większym niż dotąd spokojem, zbliżałem się do szybu w Brzeszczach. Gdy szyb już był z dala widoczny, ukryłem się za wózkami i obserwowałem podszybie. Szedł fedrunek. Poza szybowymi nikogo nie było widać. Od szybu nadszedł górnik z benzynówką. To strzałowy. Z daleka poznałem starego Nikla.

Dobra była robota na VI rewirze u Bystronia, gdy z dziadkiem Niklem robiliśmy przy budynku. Mówiłem mu wtedy „dziadku", tak i teraz po „Szczęść Boże" — powiedziałem — Dziadku, która to będzie godzina? Podniósł dziadek benzynówkę, zatrzymał się w pół słowa i dopiero zagadnął: Ale tyś nie cywil?

— Długo pompiarze będą jechać, dziadku?

— Zaraz będą wyjeżdżać już trzy kwadranse na 10. A nie widziałem cię. Szczęść Boże!

— Nie widziałem i ja was, dziadku. Szczęść Boże! Idąc za pustymi wózkami zbliżyłem się do szybu. Zbierali się elektrycy i obsługa pomp. Zatrzymała się klatka. Przyskoczyłem od tyłu do grupy czekających. Wypchnięte puste wózki przetoczyły się z hukiem. Wsiedliśmy w środkową klatkę. I po chwili pojechaliśmy w górę. Kiedy wsiadaliśmy byłem w środku sześciu górników. Wydawało mi się, że zanim jeszcze ruszyliśmy, obserwowali mnie w windzie. Teraz nie miałem wątpliwości, zbili się w przeciwległym rogu pędzącej klatki. Nie dostrzegali mnie. Może mnie odgadnęli? Dlaczego by nie, przecież sami się wszyscy znali. Jest, czy nie ma posterunku na górze? Tamtego przecież nie było na dole. Winda przeleciała nad podszybiem. Tak, stał ktoś trzeci z reflektorem. Górnicy wysypali się z klatki. Uchylili czapki, mruknęli pod nosem i szybkim krokiem szli do schodów. Zrobiłem to samo i poszedłem za nimi. Gdyby teraz chciał mnie ktoś zatrzymać, dostałby śrubą po łbie. Pociągnąłbym go za sobą w przepaść szybu. Do schodów jeszcze kilkadziesiąt metrów. Starałem się nie przyśpieszać kroku. Ale tamci szli szybciej. W kilku skokach znalazłbym się przy schodach. Cywile może by nie zatrzymali. Nikt za mną nie wołał. Już schody. Odetchnąłem. Tamci już na drugim półpiętrze. Po chwili ujrzałem zaciemniony teren kopalni. Hałda musi być na lewo, bo oni poszli do lampowni na prawo. Wszedłem w uliczkę między stągami kopalniaków. Zgasiłem lampę. Ktoś się zbliżał. Przystanąłem za sągiem drzewa. On szedł na mnie. Nie było rady. Musiałem się jak najszybciej znaleźć na hałdzie. Ruszyłem zdecydowanie w jego kierunku. Znikł. Przeszedłem hałdę i potem już za nią, nad parkanem, przystanąłem na sekundę. Zaschło mi w ustach. Ale zagwizdałem umówione „Hej góral ja se góral". Tak mi się wydawało. Potem Kostek powiedział, że ledwo to było do „Górala" podobne. Z dala ktoś odpowiedział tą samą melodią. Poszedłem w stronę głosu. Powtórzyłem hasło. Kazek? Tak. Stało ich trzech pod parkanem. Krępa postać wyciągnęła ręce. Skoczyłem w ramiona Kostka.

— Kostek, jakie ty masz długie włosy.

Radowałem się jego czarną odstającą czupryną. Ojej usmoliłem się — mówiłem bez sensu. Dziękowałem Kostkowi, Miłkowi i Marianowi.

— Nie ma teraz o czym mówić, chodźmy stąd — powiedział Miłek Golik.

Musiałem się gdzieś umyć. Maniek wprowadził nas w podwórze. Kostek pompował wodę, a tamci obserwowali ulicę i dom. Odprowadzili nas do końca osady. Dalej poszliśmy sami z Kostkiem. Szliśmy koło stawów.

— Daj mi lampę — Kostek wyciągnął rękę.

Lampa zatoczyła łuk w powietrzu i z pluskiem zakryła ją woda.

— To koniec — powiedział Kostek.

Już 10. Skończyła się zmiana. Za pasem Kostka tkwiło ładne parabelum. Zaczynała się nocna zmiana.

— Co z Cyganem? — zapytałem.

— Jutro go zobaczysz. Teraz poszedł po niego Birkut.

— Birkut, to nie ty? — zapytałem.

— Nie, to Władek brat Ninki.

Cygan uciekał równo miesiąc temu z jeszcze czterema. Tamtych zastrzelili, on ranny wrócił do meliny. Nasi go uratowali. Ale co on musiał przeżyć! Wczoraj wyszedł na łąki i pytał o Władka. Cygan to szczęściarz że trafił na dobrego, odważnego Polaka. Ale cicho, zbliżamy się do Skidzina. W domu Nikłów jest nasza melina, czeka tam już Tomek Sobański.

Pokutnice bez winy

Dokończenie ze strony 1

mama mojej dziewczyny już dosiadła innego tematu.

Więc pranie raz, więc drugi, płukanie, wyżymaczka przykręcona do pralki nie skrzypi, nie jęczy, mama znak daje. Wyłączam. Koniec.

— Koniec — powiada mama. Śmieje się. Nie jest zmęczona.

— To my sobie pójdziemy do kina — powiada moja miła. Spoglądam na zegarek. Szósta. Tylko trzy godziny. Trzy godziny pracy maszyny.

— Na początku zeszłego roku, proszę pana — powiada mama — taką samą ilość bielizny prałam przez całą noc. Ale bez pralki. Gotować trzeba było, na tarze trzeć. Reumatyzm dokuczał, ramiona rwały. Bolały plecy... Córki pomagały, ale i tak na jedno wychodziło... — uśmiecha się ta kobieta, a ja nagle widzę twarz swojej ciotki, jej schyloną w kłębach pary postać, czuję u rąk ciężar wiader wody, dźwiganych z dołu na czwartak, czuję zapach i szorstkość wyparzonych ługiem ciotczynych rąk, głaszczących mnie po twarzy.

— Moja ciotka umarła na pranie — mówię bezwiednie.

— Co pan mówi?

— Nic, nic takiego...

Poszedłem z dziewczyną do kina na godzinę ósmą, po filmie całowałem moją dziewczynę, a ona głaskała mnie po twarzy dłońmi, których miękkość ocalił dla mnie od sparzeń czyjś dobry pomysł...

3.

Czyjś dobry pomysł. Czyj? Dobry, bo prosty, bardzo prosty, kto na ten pomysł wpadł?

Czytam „Życie Warszawy". Ależ tak, piszą o tych samych zakładach, w których pracuje matka mojej dziewczyny. Stawiają te zakłady za wzór innym zakładom w kraju. Cóż właściwie, u licha tam się dzieje, że w Warszawie o tym wiedzą, piszą, chwalą, a my w Łodzi nie...

I poszedłem do Zakładów Przemysłu Bawełnianego imienia Obrońców Westerplatte. To duże zakłady. Zatrudniają 3.340 pracowników. W tym 2.000, a więc blisko dwie trzecie, to kobiety. Te kobiety, które oprócz pracy na zmiany, muszą jeszcze gotować w domu, cerować, sprzątać, opiekować się dziećmi (a i mężami też) i muszą prać: noce spędzać przy baliach, we mgle krochmalu i ługu, poruszać jednostajnie rękami, wykonywać otępiające, koszmarne czynności, bez końca, wciąż od nowa, kierat. Więc jak to jest, że matka mojej dziewczyny dostała maszynę, która za nią wykonała makabryczną robotę?

Ten krępy mężczyzna o tubalnym, lekko ochrypłym głosie, to Józef Kaczmarek przewodniczący Rady Zakładowej.

— Nie róbcie sensacji — powiada. — Każdy się stara, jak może, żeby było lepiej żyć. Sprawa prosta. Przy końcu 1958 roku mieliśmy jeszcze 11.000 złotych nie wykorzystanego funduszu zakładowego. Inicjatywa? Dziś nikt nie pamięta, od kogo wyszła. Na konferencji Samorządu Robotniczego postanowiono zakupić za te pieniądze pralki. We wrześniu 1959 roku zakupiliśmy 5 „eshaelek", to kosztowało 9.500 zł. Dyrekcja dołożyła pieniędzy na zakup trzech transformatorów, bo pralki są tylko na prąd 220. Ci, którzy mają napięcie 120, też chcą korzystać. Opłata za wypożyczenie wynosi 10 zł na dobę. Dotąd skorzystało z pralek ponad 600 osób. I nie tylko kobiety. Przykład: żona jednego z naszych pracowników leży chora już pół roku. Mają dwoje dzieci. I mąż pralkę pożycza, pierze. Maszynowa robota na honorze męskim uszczerbku nie czyni.

Ani dnia, żeby pralki stały bezczynnie. Zamówienia składa się tydzień, półtora naprzód. Czasami pralka się psuje, bo przecież eksploatacja nie ustaje ani na chwilę. Reperacji dokonuje za darmo dział elektryczny zakładów. Najczęściej zdarza się (choć wcale nie często) tak zwane, jak powiada ob. Józef Kaczmarek: „wyskoczenie motoru", i wtedy potrzebne jest „nawinięcie". W innych warunkach taka reperacja kosztowałaby 700 złotych.

Początkowo pracownicy mieli kłopot z przewożeniem pralek do domów. Pralka waży 45 kg, transformator 5. Nieść taki ciężar do tramwaju, potem przewieźć w tłoku w porze powrotu z pracy — to nie jest prosta sprawa. Ale i tu znaleziono radę. Z lekkich rurek metalowych skonstruowano model specjalnego „pralkowego" wózka. Oglądam taki wózek, pomysłowo zrobiony.

— Tysiąc złotych kosztowały nas rowerowe koła — powiada Józef Kaczmarek — zrobiliśmy dwa takie wozki. Kiedy ktoś zawiezie sobie pralkę, to zaraz nam wózek przyprowadza, nie sam, najczęściej przez dzieciaka. I już następny korzysta.

— Dzień dobry — powiadam, bo zobaczyłem Natalię Rogaszewską skubaczkę, albo, jak to się teraz nazywa, „czyściarkę".

— Jestem naprawdę bardzo zadowolona — powiada pani Rogaszewska — wypożyczam pralkę od pół roku, co miesiąc. Na duże pranie, bo rodzinę mam sporą. No, drobne przepierki, to i tak trzeba w ręku zrobić, ale to głupstwo. Za to jak kiedyś prałam pół dnia i noc, to teraz najwyżej sześć godzin...

Starym, obsesyjnym nawykiem obliczam: przez pół roku pani Natalia Rogaszewska uratowała całe sześć dni dla siebie. Cały tydzień urwała baliowej śmierci. Po trzech tylko latach: półtora miesiąca. Tak, to się da obliczyć. Ale czy dadzą się ująć w cyfry zmęczenie, brak snu, ból ramion?

Czy dadzą się wyrazić liczbami korzyści, jakie ten czas uratowany daje? Przykład: była wycieczka do Nieborowa. Pani Kowalska nie chciała, nie mogła jechać. A nigdy jeszcze nie była poza Łodzią. — Mam pranie, właśnie tego dnia — mówiła. To było wtedy, kiedy dopiero przyszły pralki. No, skusiła się Kowalska na pralkę. Zrobiła pranie w pięć godzin. I pojechała do Nieborowa. A potem do Inowłodza, i do Zakopanego na trzy dni autokarem.

Czyjś dobry pomysł pokazał Kowalskiej Polskę, kraj w którym żyje, a o którym dotąd mało wiedziała. Jedna noc, wydarta baliowej śmierci przekonała Kowalską, że można inaczej żyć, lepiej, zrezygnowawszy z upartego zacięcia się we własnych, gospodarskich troskach, które jak kosmos piekielny osaczają nieszczęsne kobiety. I dziś Kowalska mówi: przydałoby się jeszcze kilka pralek dla zakładu...

— Czemuż to, przecież pani i tak może wypożyczyć?

— Ale inni coraz więcej chcą — powiada Kowalska — i źle by było, gdyby któregoś dnia zabrakło...

A więc Kowalska martwi się o innych. Myśli społecznie. Bo wie, że inni pomyśleli o niej. I gdyby co miesiąc dokładano jej do pensji po paręset złotych, to fakt ten nie zmieniłby Kowalskiej ani trochę. Ale gdy ktoś zaczyna się troszczyć o wygodę Kowalskiej, o czas Kowalskiej, o jej rozrywki, przyjemności, to taki fakt zupełnie Kowalską zmienia. I pani Kowalska zaczyna rozumieć, że to nie „ktoś" się o nią troszczy, ale że wszyscy troszczą się o wszystkich.

— A ja mam do domu dziewiętnaście przystanków — mówi prządka, Daniela Buczek. — Tramwajem jechać z pralką niedobrze, ale z wózkiem przez całe miasto paradować też nie za wygodnie...

Hm. A może by tak zorganizować podobne „punkty usługowe" przy komitetach domowych? Żeby pralki nie jeździły po Łodzi jak taksówki, tylko były na miejscu, na każdą potrzebę? Oczywiście, zakupić trzeba by ze składek lokatorów...

Mówi Józef Kaczmarek:

— Ja już myślałem o czymś takim. Ale to jest trudniejsze, niż się wydaje. Bo weźmy: pralka kosztuje blisko dwa tysiące. Więcej jak po 50 zł do wspólnej własności to by ludzie nie chcieli dać. Musiałby więc to być dom o czterdziestu rodzinach. A znów na czterdzieści rodzin jedna pralka to trochę za mało, bo trzeba się liczyć z przestojami. Na dwie pralki musieliby dać po 100 złotych. A teraz, dajmy na to, komuś pralka nawala. Wtedy inni powiedzą: „Myśmy prali i nam nie nawaliła, on popsuł, więc niech sam płaci" A reperacja kosztuje 700 złotych. Załóżmy, że przy nieustannej eksploatacji każda z dwu pralek nawali raz na miesiąc. To wychodzi 1400 zł dopłaty na reperację, każda rodzina daje 30 złotych To by się nie opłacało. Jeszcze, gdyby na miejscu był jakiś warsztat naprawy, gdzie któryś z użytkowników, fachowiec, naprawiłby za darmo... Trzeba by bardzo świadomych, wyrobionych społecznie mieszkańców, żeby nie było kłótni i swarów z powodu pralek...

Ma trochę racji Józef Kaczmarek. Trzeba jeszcze nad tym pokombinować. Może kobiety, w czasie odebranym śmierci, pomyślą o nowej orgardzacji kobiecego czasu, przypomną sobie straty, wyobrażą zyski i wymyślą coś, co nie tylko im na dobre wyjdzie, ale i nam mężczyznom... Bo my naprawdę wolimy widzieć Was uśmiechnięte, niż zmęczone, wyparzone i smutne.

ANDRZEJ BRYCHT

Horawianka i Voit słuchają nagrania Gałczyńskiego.

Barbara Horawianka jako Rachela z „Akropolis". Rysunek Mieczysława Voita.

JESZCZE U VOITÓW

Kwadratowa i okrągła, którą wybrać? Obie jednakowo wydajne

Fot. Z. Walter

Czy Caryl Chessman zostanie stracony?

(Dokończenie ze str. 2)

Policji i w sądzie Chessman do winy się nie przyznał. Oskarżenie było bardzo poważne: kilkanaście napadów, dziesięć zgłoszonych zgwałceń i obrabowań, jedna z ofiar po przebytym szoku umieszczona w szpitalu dla nerwowo chorych. Ustawodawstwo kalifornijskie jest surowe — za gwałt, za zwykłe porwanie człowieka nawet bez szkodliwych dla niego następstw — przewiduje karę śmierci. W wielu stanach Ameryki po słynnej aferze kidnaperskiej, kiedy to porwano i zamordowano syna znanego lotnika, wprowadzono tak zwane „prawo młodego Lindbergha".

Nie mając pieniędzy na opłacenie dobrego adwokata, Chessman zrzekł się obrońcy z urzędu i bronił się sam. Bronił się atakując. Oskarżył policję o pobicie, o niedopuszczalne metody śledztwa, o próby szantażowania go i zastraszania. Zeznawał, że grożono mu zastrzeleniem pod pretekstem usiłowania ucieczki jak też namawiano do przyznania się do winy, obiecując zatuszować część przestępstw, co miało wpłynąć na złagodzenie kary.

Skonfrontowano go wówczas z trzema ofiarami nieudanych napadów. Dziewczęta poznały „bandytę z czerwonym światłem". Mimo uroczystych protestów Chessman skazany został na śmierć w komorze gazowej.

Osadzony po raz trzeci w San Quentin, w maleńkiej celi skazańców na najwyższym piętrze północnego skrzydła gmachu, Chessman założył apelację. Po roku zatwierdzono wyrok w drugiej instancji. Wówczas Chessman odwołał się do Sądu Najwyższego.

Od dnia pierwszej rozprawy minęło już jedenaście lat. Chessman nadal przebywa w celi śmierci. Ośmiokrotnie rozpatrywano jego sprawę, osiem razy sąd uznawał go winnym. Zbliża się dziewiętnasty lutego, nowo naznaczona data wykonania wyroku, ale więzień nie traci otuchy— po raz ósmy zażądał rewizji procesu: na 250 stronicach druku, w 14 rozdziałach punkt po punkcie zbija orzeczenie sądu. A nie jest już sam, stoi za nim całe kolegium najwybitniejszych amerykańskich adwokatów.

Po prawdzie Chessman adwokatów tych nie potrzebuje. W ciągu owych jedenastu lat stał się najlepszym chyba w Stanach znawcą prawa karnego. Przestudiował je i przepracował, jak sam dość chełpliwie stwierdza, dokonał praey, za którą innemu prawnikowi trzeba by zapłacić co najmniej sto tysięcy dolarów. Ale ponieważ stać go obecnie na opłacenie adwokatów nie myśli rezygnować z ich pomocy.

Czasu pobytu w więzieniu Chessman nie zmarnował. Narzucił sobie twardy tryb życia: na dobę siedemnaście godzin pracy, cztery godziny snu, trzy — wypoczynku. Przepisy więzienne nie widzą potrzeby spaceru dla skazanych na śmierć, w drodze wyjątku zezwolono Chessmanowi przebywać od dziesiątej rano do pierwszej w południe w wąskim pomieszczeniu przed celą. Tam zażywa ruchu, gimnastykuje się, grywa w karty lub gawędzi ze współpenitentami. Resztę dnia, w celi zajmuje mu lektura, nauka, pisanie.

Początkowo, obok studiów fachowych, czas wypełniało mu czytanie. Czytywał po dwie książki dziennie: od sensacyjnej „żółtej" beletrystyki po św. Augustyna. Pewnej jednakże nocy po burzliwej dyskusji z dyrektorem więzienia, zabrał się do pisania. Przez 35 tysięcy godzin, które przeżył do tej chwili w celi śmierci, wiele spraw przemyślał.

Z czterech książek, jakie napisał w więzieniu, „Cela 2455, w szponach śmierci" stała się bestsellerem. Przetłumaczona na osiem języków, kilkakrotnie wznawiana rozsławiła nazwisko i osobę autora.

„Metr dziewięćdziesiąt wzrostu, dziewięćdziesiąt kilogramów żywej wagi, doskonałe zdrowie i świetna kondycja fizyczna, taki jest mechanizm znakomicie przystosowany do swej funkcji — znoszenia regulaminu celi śmierci. Kasztanowate włosy, lękko łysiejące przy skroniach zdeformowane w walce, skrzywione wargi, przełamany i rozkwaszony nos — oto wymowny dowód życia, które ma być odjęte".

„Ale do komory gazowej — dodaje na innym miejscu — zaprowadzicie — jeżeli nie uda mi się zachować życia — pisarza niemal czterdziestoletniego, popchniętego tam ręką widma: młodzieńczego kryminalisty, który nie istnieje już od przeszło dziesięciu lat. Samo bowiem obarczanie mnie tyloma winami, jakie mi przypisujecie, powoduje, że zamordowalibyście osobę zupełnie inną, niż ta, którą kiedyś skazano".

Chessman pragnąłby nakręcić film o swoim życiu. Po opłaceniu obrońców resztę majątku, jaki zdobył twórczością literacką, zapisał w testamencie wytwórni filmowej, która podejmie się tego zadania. Nie próżność już nim teraz kieruje, uważa, że walczy o dobrą sprawę, nawet nie o własne życie, o sprawiedliwość. Podkreślając stale, że jest niewinny, wierząc, że wygra proces, ze spokojem i determinacją czeka na wyrok, śmierci się nie lęka.

Ma zresztą obrońców możniejszych niż adwokaci, ujęli się za nim wielcy pisarze i uczeni, mężowie stanu i działacze społeczni. Związki i organizacje, między innymi Watykan, wysłały do gubernatora Browna dziesiątki listów z żądaniem ułaskawienia Chessmana.

A jeśli prawo przewiduje inaczej, należy zmienić prawo, głosi opinia publiczna. I wcale nie jest wykluczone, że — nim nadejdzie dziewiętnasty lutego — kara śmierci zostanie w Kalifornii zniesiona.

Opracował: H. O.

Władysław Rymkiewicz
ROMANS KRÓLEWSKI

Powieść historyczna

STRESZCZENIE

Akcja „Romansu królewskiego" rozgrywa się w XVII wiecznej Polsce. Przeciw królowi Janowi Kazimierzowi — który w obliczu wojny z nadciągającą ze wschodu nawałą kozacką zabawia się romansem z piękną panią Radziejowską — występuje zgodnie szlachta i magnateria polska. Ale król nie ma zamiaru rezygnować z miłości pani Radziejowskiej — i ta odwiedza go nawet pod Beresteczkiem, w przeddzień rozstrzygającego starcia z wojskami kozackimi. Podczas nocnej wyprawy na spotkanie z Radziejowską towarzyszy królowi nieodłącznie wytwór jego wyobraźni, drugie, nie istniejące w rzeczywistości „ja" — Kaźkojan.

●

ROZDZIAŁ IV

Tyzenhauz pociągnął Rylskiego za rękaw i zatrzymał przy drzewcu chorągwi królewskiej wystawionej przed namiotem pod Beresteczkiem. — Wejdziesz waść ze srebrnym kozakiem — szeptał, żeby nie obudzić wartownika.

— A waszmość?

— Ja się do tej sprawy mieszać nie będę.

— Dlaczego?

— Pół roku minęło, jakeśmy ostatni raz byli z królem u twej pani — tłumaczył z powściąganą złością Tyzenhauz. — Myślałem, że królowi już wywietrzało. A wreszcie, niechby się Butler dowiedział! Rany boskie! Butler to śmiertelnie poważna persona. Ja, uważasz waćpan, mam swoją teorię, wedle której dzielę ludzi na śmiertelnie poważnych, średnio poważnych i letkiewiczów — wywodził gadatliwie. — Z letkiewiczem zawsze można się dogadać, ale chroń cię Boże od śmiertelnie poważnych. To posępne duchy. Takim jest właśnie nasz oberszter.

Popchnął lekko szlachcica w kierunku namiotu. — Idź już waść! Idź!

Jan Kazimierz spał leżąc na wznak, sztywny, wyprostowany jak nieboszczyk przykryty grubą derą podciągniętą wysoko pod brodę. Wrażenie martwoty potęgowała cienka, podziobana bliznami po ospie skóra, napięta na wydatne szczęki i czoło, które bez grzywki i peruki wydawało się pękate jak bania.

Rylski ujął delikatnie króla przez derę w miejscu, gdzie pod grubą, włochatą tkaniną rysował się wzgórek obojczyka.

Jan Kazimierz otworzył jedno oko. Kozak ze świecą w ręku i Rylski nachyleni nad tapczanem wpatrywali się ciekawie w monarchę, który otworzył drugie oko.

— Nowiny ważne przywiozłem — półgłosem oznajmił porucznik. — Każ odejść kozakowi, miłościwy panie.

Jan Kazimierz dźwignął tułów i usiadł. Dera opadła do pasa. W rudym świetle świecy zalśniła biel wykwintnej bielizny z koronkami. — Idź precz!

Srebrny kozak postawił świecę na stole i wyniósł się z namiotu. Król ziewnął. — Waść kto? — senny, przecierał grzbietem zgiętego kciuka oczy.

— Jam porucznik piechoty nadwornej pani podkanclerzyny — Rylski zgiął się wpół i mówił szeptem, jak uczestnik spisku, rozglądając się bojaźliwie, niepewny, czy za ścianami i zasłonami nie ukrywa się ktoś podsłuchujący. — Najjaśniejszy pan nie poznaje mnie?

Król zmarszczył nos i przypatrywał się podejrzliwie szlachcicowi, który przykucnął i z rękami wspartymi na zgiętych kolanach uśmiechał się zachęcająco do monarchy. — Jejmość ma coś ważnego do zakomunikowania najjaśniejszemu panu.

— Jejmość! — twarz króla zastygła, brwi załamały się, myśl zdawała się biec za jakimś dalekim wspomnieniem. — Gdzież ona jest? — powiedział jakby do siebie samego, nie spodziewając się odpowiedzi, zapominając o obecności szlachcica.

Rylski rozprostował się. — W karecie, w zagajniku, niedaleko stąd. — Wyprężył się dumnie. — Ja przywiozłem jejmość podkanclerzynę.

Jan Kazimierz zamrugał powiekami, przez twarz zaczęły przepływać fale zmiennych wrażeń i uczuć: niedowierzania, przestrachu, zdumienia. Odsunął się nieco na tapczanie od nocnego przybysza i wsparłszy się wyciągniętymi do tyłu rękami o poduszki zapytał:

— Gdzie? Gdzie?

Z kolei porucznik przestraszył się nieco wrażenia, jakie wiadomość wywarła na królu, i powtórzył niepewnie: — W karecie, w zagajniku, niedaleko stąd, za obozem.

Lecz on pierwszy też odzyskał przytomność umysłu i oświadczył z grzeczną stanowczością: — Trzeba się śpieszyć, najjaśniejszy panie!

— Śpieszyć się? — Jan Kazimierz odruchowo odgarnął kołdrę i opuścił nogi na dywanik. — Co się stało?

— Jejmość ma ważne wiadomości do zakomunikowania — monotonnie i poważnie, jakby od tych wiadomości zależało wygranie bitwy, zapewnił Rylski widząc, że król się ociąga i nie ma ochoty na nocny spacer. — Ważne wiadomości.

— Ale co się stało? — Jan Kazimierz zapytał grymaśnie.

— Bóg jeden wie — zdławionym głosem z wytężenia sił, pomagając królowi wzuwać rajtarskie buty, odrzekł porucznik. — Pani kazała, żebym ją zawiózł do obozu.

Jan Kazimierz spoglądał na Rylskiego ukradkiem, z obawą i z niedowierzaniem.

— Jejmość ma ważne wiadomości do zakomunikowania — monotonnie powtarzał porucznik.

— Wiadomości? — Król zasiadł przed zwierciadłem i zaczął powoli nakładać perukę na głowę.

— Żeby nam tylko noc nie uciekła — zmartwił się porucznik. — Po co nas ludzie mają widzieć za dnia? Może lepiej opowiem po drodze.

Na stole przykrytym adamaszkiem stało zwierciadło w srebrnych ramach, przybory toaletowe, konew srebrna z kubkami. Jan Kazimierz widział w lustrze Rylskiego, zerkającego pożądliwie to na konew, to na króla poprawiającego perukę. — Rozgrzać by się przed wyjściem?

— Petercyment wyciąga z człowieka febrę i różne inne szkodliwe wilgotności — żywo podchwycił porucznik.

— Nalej waść dwa kubki.

— Zdrowie miłościwego pana! — wychyliwszy kubek Rylski napełnił go pośpiesznie po raz drugi. — Zacny petercyment!

Król przypasywał szpadę. Ręce mu drżały.

Porucznik otarł wierzchem dłoni usta. — Jużem gotów. Jam z tych — zapewniał gadatliwie — co mówią, że niczego nie pili, jeśli kwarty do dna nie dopiją.

Rylski odwinął zasłonę. W pustych ulicach między namiotami zapachniało cząbrem i kurzem polnej drogi.

Szli do taborów. Przytłumione łoskoty rozrywały senną ciszę. Koń stuknął o belkę kopytem. Dźwięknął łańcuch. Zalatywało spalenizną ze zgaszonych ognisk.

— Wer do? — sennym głosem zawołał ktoś z wozu.

— Idź precz! — król syknął. I zaraz po tym powiedzeniu Kaźkojan wsunął się pomiędzy Jana Kazimierza a Rylskiego.

„Idź precz! Mocny Boże, człowieku, włóczyć się po nocy jak trzpiot? Majestat królewski szargać?"

— Miłościwy pan rzecze?

Król zacisnął zęby.

Za taborami rozciągał się sapowaty grunt, uginający się pod nogami. Każdy krzak czepiał się ferezji, każdy krok wyciskał z grząskiej ziemi łyżkę wody, która chlupotała pod stopą. A potem równina zaczęła się podnosić i zmieniła się w zbocze piachu.

Na granatowym niebie zarysowały się niewyraźnie miotełkowate czuby krzaczastej choiny. Zapachniało goryczką i wilgocią zagajnika. Po chwili wszyscy trzej zanurzyli się po pachy w zaroślach.

Wiosłując rękami i rozgarniając lepkie gałęzie olch i kłujące grzebienie świerków Rylski torował drogę i szukał ścieżki.

Kaźkojan zaplątał się w gęstwie prętów i witek, w twardych cierniach głogu i tarniny, o którą zahaczała się sobolowa ferezja.

Jan Kazimierz, spotniały i zdyszany, obserwował ze spokojną rozpaczą Kaźkojana, uwikłanego i miotającego się beznadziejnie w gąszczach. Widział w szarpaninie Kaźkojana obraz własnego życia pełnego udręki i przeszkód, które przed nim piętrzył los.

Porucznik wziął króla pod ramię. — Idziemy teraz pod górę, przez las — uspokajał. — Zaraz będzie polana.

Jakaś postać przesunęła się między drzewami i znikła w ciemnościach. Rylski ścisnął ramię króla. — Śledzą nas, miłościwy panie.

— Nie. To Kaźkojan — dziwnie odrzekł król

— Szukaliśmy z panią podkanclerzyną karczmy we wsi Zawady.

— Karczmę w Zawadach zajęła królowa na kwaterę.

— Właśnie! Jakiś szlachcic wyszedł na ganek, krzyczał, co my za jedni? Jejmość podkanclerzyna wyjrzała z karety i opowiedziała się, kim jest i kogo szuka. A mnie się zdało, żem po głosie poznał zaufanego powiernika i przyjaciela pana podkanclerzego, pana podczaszego sandomierskiego.

— Pana Dębickiego? Breszesz waść!

— Od tamtej chwili, jakeśmy stamtąd odjechali, jacyś ludzie kręcą się bez ustanku koło nas kołując jak te ćmy nocne.

— Breszesz, mości poruczniku.

Opuszczali się niżej. Zapachniało mchem i torfem leśnym.

— Prawdę mówiąc, to my już niedaleczko. Bałem się, że zbłądzę — Rylski stąpał ostrożnie po nierównościach gruntu. — Owóż, i jesteśmy!

Z mroku między drzewami wyszli na jaśniejszą przestrzeń na porębie. W górze błysnął szafirowy przestwór.

V.

Na polanie stało czarne pudło z opuszczonym na ziemię dyszlem.

Rylski szarpnął drzwiczkami i podsadził króla na stopień. — Będę stał na czatach — ochoczo zapewnił z ubliżającą poufałością. — Miłościwy pan może mi zaufać.

Król wsunął głowę do ciemnego wnętrza i przełożył nogi przez deskę nad stopniem. Mocne trzaśnięcie drzwiczkami zgłuszyło okrzyk podkanclerzyny. — Wielki Boże!

— To ja — powiedział uspokajająco Jan Kazimierz, potknął się o szpadę, i upadł na siedzisko. — Niech będzie pochwalony.

Znajomy głos odpowiedział z ciemności. Król nic nie widział — Czy stało się co złego? — usiłował objąć cudną jejmość omotaną jak kokon jedwabiami, lecz nadział się na wyciągniętą sztywno rękę jak na dyszel. — Porucznik waćpani obudził mnie w nocy — podrażniony odpychającym powitaniem poskarżył się cierpko.

— Czemu przypisać tak nagły przyjazd waćpani? — rozzłoszczony na opadającą z ramion ferezję łapał daremnie zsuwające się z pleców sobole.

— Królową z całym fraucymerem pociągnęła za królem jegomością w pole — równie cierpkim tonem odpowiedziała z rogu pudła niewidzialna w ciemności podkanclerzyna — to i Radziejowska nie gorsza.

Jan Kazimierz nie mógł poradzić sobie z ferezją. Poirytowany, zrzucił sobole na podłogę. — Dziwactw mojej małżonki naśladować nie należy. To są francuskie ekstrawagancje — tłumaczył zimno. — Wszystkie damy idą za wzorem królowej, naśladują francuską manierę, a potem szlachta zżyma się na dwór, fulminuje na zepsucie obyczajów. I nie bez racji. Co przystoi paryżance i damie dworu Ludwika Czternastego, nie godzi się białogłowie.

— Proszę, a w czym to ja gorsza od tamtych francuskich dam? — oburzyła się pani Elżbieta. — Tyle że bogatsza i mogłabym sobie je wszystkie dokoła palca owinąć — zadąsana, parsknęła jak kotka. — Widzę, żem pokrzyżowała królewskie zamiary i przyjechała nie w porę.

— Parol kawalerski, żem tak nie myślał.

— Ale nie frasuj się, miłościwy panie! Długo nie zabawię. Zabieram moje lary i penaty do Kryłowa. To miasteczko imć podkanclerzego nad Bugiem — wytłumaczyła mimochodem. — Niedaleko stąd! Ale proszę się nie obawiać! Nie przyjadę ja tu więcej!

Bez wiary podjął utartą próbę pojednania. W mroku majaczył niewyraźnie blady owal twarzy osłoniętej koronkowym zawojem, którego łaskocące dotknięcie czuł Jan Kazimierz na policzkach, gdy przyciskał bez przyjemności usta do ust podkanclerzyny.

— I dosyć na tym! — z rozsądną trzeźwością położyła Elżbieta Radziejowska koniec umizgom. — Powolna i wierna poddana miłościwego króla przyjechała nie na czułości, ale po to, żeby ostrzec Majestat.

Jan Kazimierz, naburmuszony, opadł na oparcie siedziska. — O cóż chodzi?

— Imć podkanclerzy pisał list do królowej.

— Phy, po cóż by miał pisać — Jan Kazimierz ze wzgardliwą niedbałością odął usta — skoro oboje są blisko siebie?

— Wówczas kiedy list pisał, mógł snadnie myśleć, że królowa bawi jeszcze w Warszawie.

Jan Kazimierz obruszył się grymaśnie. — I cóż stąd?

— A to, że wysłany totumfacki wdał się w burdę w zajeździe pod Jabłonną i został tak posiekany szablami, że go ledwie żywego do pałacu Kazanowskich dowieźli. A pieczęcie listu, który chował na piersi, zostały rozłamane od cięcia szablą.

— Waćpani czytała ową epistołę?

Podkanclerzyna wyprostowała się i zebrała pod szyją koronkowy zawój. — Elżbieta ze Słuszków ma jeszcze w swoim pałacu wierną służbę, która za nią życie oddać gotowa — odrzekła wyniośle.

— Domyślam się, że ów totumfacki leżał bez pamięci?

— I długo! Jeszcze do dziś z ran się nie wylizał.

— Cóż było treścią listu do królowej?

— Wszystka materia listu była o niesposobności króla do rządów — podkanclerzyna zająknęła się: — O nieumiejętności w regimentowaniu wojska...

Z kąta pudła rozległa się szydercza zachęta: — Proszę, mówże waćpani dalej!

— „Gdzież on się sztuki wojskowej uczył, żeby tak wielką armią dowodzić?" było napisane w tej epistole. „W sutannach chodzi, na chórze u ojców jezuitów śpiewał..."

— „Na chórze u ojców jezuitów?" — Jan Kazimierz wybuchnął udanym, błazeńskim śmiechem. — Tak było napisane? Dowcipniś, na Boga! Ale mów waćpani dalej!

— „Jako kardynał, o tytuł Altezza Sereniss ma z papieżem się wadził"...

— Dalej! Dalej!

— ...„ale na rzemiośle wojennym to już i ciura obozowy lepiej się od niego rozumie".

— Co jeszcze? — król tupnął obcasem w deskę podtrzymującą siedzisko. — Mówże waćpani, na Boga wszystko do końca!

— Była jeszcze mowa o radach lekkich i niestatecznych — podkanclerzyna ściszyła głos.

— Dalej! Śmiało! Jam przywykł do znieważ i potwarzy. To mój chleb codzienny.

— Oraz o innych rzeczach, wielce dla sławy i reputacji królewskiej przykrych — wymijająco powiedziała podkanclerzyna.

— To mój chleb codzienny — Jan Kazimierz szedł za swą myślą. — Chleb, którym od lat mnie karmią ichmościowie. A potem się dziwią — spokojnym tonem nienawiści kontynuował — kiedy powiadam, że wolę patrzeć na psa niźli na Polaka.

„I po co?" zganił Jan Kazimierz gadułę Kaźkojana. „Po co mówić o tym"?

Marszczone firanki na szybach poszarzały od brzasku wstającego dnia.

— Przepowiadali mi to — śmiech Kaźkojana zabrzmiał ostro jak kaszel. Elżbieta Radziejowska wzdrygnęła się i opatuliła ściślej ormantlem podbitym gronostajami. D. c. n.

NA PERYFERIACH WSPÓŁCZESNOŚCI

ZBRODNIA TO NIESŁYCHANA...

Kuchenka Duperasów — tu rozpoczął się dramat

TADEUSZ ŻAKOWIECKI **Zdjęcia: Z. WALTER**

Na „Kaczce" — to takie Chojny Tomaszowa — popełniono morderstwo. Ojciec zabił syna. Dwoma uderzeniami młotka.

Ale to nie ojciec jest mordercą. Chociaż się przyznaje, a nawet sam od razu zawiadomił milicję.

Opinia publiczna, milicja, powściągliwa prokuratura jest w swej opinii zgodna: — faktycznym mordercą jest młody Duperas. Ojciec dokonał tylko rozpaczliwego aktu samoobrony. Morderstwo dojrzało wcześniej, a teraz już tylko spełniło się.

* * *

Krańcówka autobusu — i zaczyna się „Kaczka", robotnicza i nie tylko robotnicza dzielnica oddalona pięć kilometrów od centrum Tomaszowa.

Na początku solidne mury zakładów bawełnianych, w których znajdują pracę mieszkańcy „Kaczki", dalej gmach Wydziału Zdrowia, potem już tylko nowoczesna sylwetka kiosku odcinającego się od starych, małomiasteczkowych domków i plucha niebrukowanych ulic.

W lewo od kiosku krzywa perspektywa Młynarskiej. Numer osiemnasty.

Właściwie to nie ma znaczenia, że akurat podwórko pod numerem osiemnastym stało się miejscem tragedii. Między podwórkami nie ma istotniejszych różnic.

Numer osiemnasty. Domek jeden z wielu; facjata, dwa zakryte ganeczki; z tyłu podwórka rząd drewnianych komórek; za komórkami kawałek ziemi, który Duperasowa i jej sąsiadka obsadzają co roku ziemniakami...

Tylko anteny (spotykane rzadko) mówią tu o naszym czasie, o drugiej połowie XX wieku.

60-letnia Duperasowa twierdzi, że Stasio do piętnastego roku życia widział jej się dobrym chłopcem. Dopiero później, jak poszedł w świat, coś się w nim zepsuło. Trafił nawet do więzienia.

Duperasowa nie wie dokładnie, gdzie syn przebywał. Dla niej, analfabetki, świat nie jest geograficznie uporządkowany. Zresztą wszystko co wystaje poza obręb tej uliczki, dzielnicy — nie jest dla niej uporządkowane, traci logikę, przestaje być zrozumiałe. Ale i to, że mąż jej zabił syna, chociaż utrzymane w stylu „Kaczki" — dzielnicy ponurej i zaniedbanej — nie mieści się ze wszystkim w jej świadomości.

— Miał przecież dobrze — powiada. — Kiedy tylko potrzebował pieniędzy — dawaliśmy. Nie było pieniędzy akurat w domu — szło się pożyczyć...

* * *

W Komendzie MO miasta Tomaszowa powiadają, że Stanisław Duperas pracował przez pewien czas w kopalni na Śląsku, i że był tam nawet aktywnym pracownikiem.

To chyba jedyny pozytywny szczegół jego życia. Pozostaje więzienie, kilka aresztów, sława największego chuligana, pijaka i awanturnika rodzinnego na „Kaczce".

Z działalnością chuligańską Duperasa milicja umiała sobie radzić. Cezarego Przepiórkę — koleżkę i podporę łobuzerskich wystąpień osadzono w Kochanówce, innych — w więzieniach. Jego samego nękano systematycznie aresztami.

Ale milicja nie miała szans zlikwidowania awanturnictwa Duperasa na terenie jego własnego mieszkania. W tych sprawach milicja jest b e z r a d n a.

* * *

Stanisław Duperas był jedynakiem. I to rozsadza typowe ramy awantur rodzinnych, chociaż ich nie łamie. O „ukrywaniu" syna awanturnika decydowały tu względy uczuciowe (przecie to jedynak); ale przede wszystkim jednak — decydował strach.

Naprawdę, trzeba zobaczyć i usłyszeć, aby zrozumieć ten strach. Strach irracjonalny, a nawet mistyczny.

Trzeba zobaczyć tę krzywą uliczkę na przedmieściu, ona jest „świat drogi" oddalona od Tomaszowa, zgrzybiałe domki, dziewczyny z pretensjami, że niby są lepsze, nie zwracają uwagi na nikogo. Trzeba poczuć smród płynącej nie opodal rzeczki, stanąć na drewnianym moście. To nawet bezpieczne, most może udźwignąć jeszcze piętnaście ton. — Trzeba popatrzeć w mętną wodę, i nie silić się na banalne, refleksyjne przenośnie...

A usłyszeć?

Można usłyszeć anachroniczny mit siejącego postrach, bezkarnego bohatera. Mit rodzący się w warunkach zaniedbanych dzielnic, przedmieść, w prymitywie kulturalnym.

* * *

Duperasowa myje akurat podłogę. Wąska kuchnia, drzwi do pokoju, stół i dwa krzesła.

— A bo ja wiem, co pan za jeden? Z jakichś „Odgłosów"?

— Mogę pokazać zaświadczenie...

— Co z tego, i tak nie umiem czytać.

Kobiecina znękana, zobojętniała — odpowiada na pytania tak, jakbym już dawno wszystko wiedział i niepotrzebnie na nowo o wszystko pytał. Niechętnie pokazuje fotografię przystojnego chłopaka, z krótko ostrzyżonymi włosami i z wąsikami.

Sprawa Duperasa jest ciągle żywa wśród mieszkańców Kaczki, zbierają się na miejscu zbrodni i próbują ją wyjaśnić

Niezręcznie pytać. Zabójstwo nastąpiło ledwie przed trzema tygodniami. Sprawa dla Duperasowej bolesna. Mówi niechętnie.

— Pracował u „inwalidów". Ale dopiero od dwóch miesięcy. Cóż z tego, kiedy i tak pieniędzy wołał. I trzeba było dawać, bo inaczej bił i nie byliśmy pewni czy rano wstaniemy.

— Czy miał jaką dziewczynę?

— A bo to jedną...

Nieskładane zdania, zagmatwana opowieść.

— Przychodził prawie co drugi dzień z inną. Zostawały zawsze na noc. Przenosił z pokoju do kuchni kozetkę...

— Dzień wcześniej przyjechał w nocy pijany i znowu zaczął się awanturować, Chciał dwieście pięćdziesiąt złotych. Mieliśmy tylko sto osiemdziesiąt. Więc wziął to i pojechał. Wrócił wieczorem pijany. Mąż grał akurat w damkę z sąsiadem, to zrzucił klocki na podłogę, zaczął się rozbierać, krzyczeć i mnie bić. Mąż się wtrącił, a sąciad uciekł szybko do swojego mieszkania.

— Potem byłam nieprzytomna. Jak się ocknęłam, mówili że nie żyje. Leży na podwórzu. Bo jak się szamotali, to wylecieli na podwórko.

* * *

Dziudowa mieszka przez ścianę. Wszystko u nich słychać. Ściany drewniane. A gdyby nawet nie — i tak wszystko byłoby wiadomo. Po sąsiedzku...

Dziudowa ściereczką kurz strzepuje z krzesła, mówi z przesadną swobodą, pod którą czuję trochę niepewności, a może strachu.

Duperasowa, to dobra kobieta, nieraz pranie pomogła płukać... A i stary Duperas człek porządny, u Lanzberga magazynierem był, co niedziela do kościoła chodził. Tylko właśnie ten ich Stachu. Taki przystojny chłopak. Ojciec mu ostatnio prawie za tysiąc osiemset złotych palto kupił. I kapelusz. Żeby tak bić własną matkę!? Musiał chyba być wariatem. Czasem to wziął żyletkę i własne ciało krajał. Klepał tak bez sensu, że to niby nie jego rodzice, tylko wzięli go na wychowanie, a on jest coś lepszego.

— Rzęsy podrabiał, chi chi — wtrąciły dzieciaki.

— Miał takiego „fisia" — mówi Dziudowa. — Chociaż dla mnie, nie powiem, grzeczny był. Ile tylko razy przyszedł do kiosku po wino to mówił: — „Pani Dziudowa, ja do śmierci nic nie będę do pani miał". — Teraz, wie pan, trochę się go boimy. Że może straszyć. Na podwórko wychodzimy tylko za dnia. On tam leżał nieżywy...

— Pani widziała, jak to się stało?

— Nie. Nikt nie widział. Słyszeliśmy wielką awanturę, krzyki, to siedzieliśmy cicho w domu. Dopiero jak przyjechała milicja... A wcześniej to się baliśmy. Jak stary Duperas biegiem leciał do telefonu, to się jeszcze bardziej baliśmy. Myśleliśmy, że nie żyje matka. Przecież ciągle jej groził. Pan Sienkiewicz, ten z góry, akurat z miasta wracał. Kiedy zobaczył, że Duperas wybiega z podwórka — myślał, że Stachu zabił matkę i goni ojca — już nie wchodził do siebie na górę, tylko wpadł do nas i szybko zatrzasnął za sobą drzwi. Dopiero jak przyjechała milicja zobaczyliśmy co się stało...Trudno uwierzyć. Chyba cud boski. Stary miał rękę niewładną. Dziw, jak mu się udało wyrwać ten młotek...

* * *

Jeszcze stary Duperas. On sam — na razie niedostępny. Pozostają tylko protokóły zeznań.

Stary Duperas nie dorzuca zbyt wielu faktów. Sprawa prościutka.

— Wrócił wieczorem. Pijany. Zrzucił ze stołu klocki bo graliśmy z Tomczakiem akurat w damkę. Brał się od razu do bicia, więc Tomczak poszedł do domu. Mówię do niego: — „Stasiu, usiądź to ci zrobię kolację i pójdziesz spać". A on nic tylko się rozbiera, ciska matce pod nogi ubranie, a klnie przy tym na nią brzydko... Kiedy matkę uderzył, zacząłem go odciągać. Wtedy skoczył do sionki po siekierę. Na podorędziu był młotek. Ale już go nie dopuściłem do matki. Wydostaliśmy się na podwórko. Sam teraz nie wiem, jak ja mu wyrwałem ten młotek. Prawą rękę mam przecież sztywną... Uderzyłem, zdaje się, dwa razy. Nie chciałem zabić. Myślałem że go tylko ogłuszę. Jak się spostrzegłem, że nie żyje — od razu poleciałem dzwonić po milicję...

* * *

Zabójstwo wydarzyło się na przedmieściu. To nie przypadek. Około 80% zabójstw o podłożu obyczajowym dokonuje się w atmosferze przedmieścia, gdzie niski poziom życia umysłowo-kulturalnego umożliwia egzystencję i działanie różnego rodzaju awanturnikom.

Czy jednak przedmiejskie tło stanowi główną determinantę tragedii w Tomaszowie?

Trudno odpowiedzieć na to pytanie. Warto natomiast zastanowić się: dlaczego tragedia w Tomaszowie mogła w ogóle dojrzeć? Dlaczego Stanisław Duperas mógł terroryzować całą dzielnicę, bić własną matkę i własnego ojca bezkarnie? Dlaczego starzy, sterani życiem ludzie musieli być w tej tragedii samotni? Dlaczego nikt nie interweniował w ich stosunki z synem, które określało „prawo pięści"?

W Komendzie Milicji powiadają:

— Awantury rodzinne, to klęska. Z chuligaństwem sobie poradziliśmy, a przed awanturami rodzinnymi rozkładamy ręce. Jeśli już ktoś z sąsiadów zdecyduje się zawiadomić nas, że na przykład mąż bije żonę (sama żona przychodzi bardzo rzadko) — interwencja nasza kończy się co najwyżej na całonocnym zatrzymaniu winowajcy. Zwykle z samego ranka przybiega żona, błaga, żeby męża wypuścić. Ale niech pan nie myśli, że kierują nią wyłącznie emocjonalne względy. Po prostu, gdyby sprawa męża stanęła na kolegium — musiałby zapłacić co najmniej 1.000 zł. grzywny. Taka kara uderza nie tylko w męża awanturnika, ale przede wszystkim w interesy całej rodziny. Stąd setki rodzinnych dramatów nie wychodzą poza obręb mieszkania. To między innymi doprowadziło do morderstwa w rodzinie Duperasów. Rodzice starali się ukryć winę swego syna. Co za fatalna sytuacja — żony boją się mężów i milicji. Miłość macierzyńska nie pozwala oskarżyć własne dziecko. Najgorsze tylko sprawy rozstrzygają się u nas. Chociaż i tak jest ich zatrzęsienie.

Czyżby więc rację mieli ci publicyści, którzy wskazują na istniejący na całym świecie kryzys autorytetu rodziców, osłabienie więzów rodzinnych?

Są to zagadnienia dla jakiejś poważnej dyskusji. Ale jest jeszcze jedna sprawa.

Prokurator Ryszard Nowak twierdzi, że awantury rodzinne — jeśli już finalizują się w sądzie — prawie zawsze kończą się bezkarnie. Około 80% kobiet domagających się uwięzienia mężów awanturników na procesach wycofuje swoje oskarżenia.

Schemat motywów niekonsekwencji bywa niemal zawsze ten sam: łatwo osadzić męża w więzieniu, pozostaje jednak dom, dzieci; pozostają jeszcze pytania: — Co powiedzieć dzieciom? Czy mąż po realizacji wyroku będzie na pewno inny? Czy w ogóle wróci?

Rzecz może się zmienić chyba tylko z chwilą wyjścia poza tradycyjne środki kary: poza więzienie i grzywnę. Ale to sprawa do dyskusji — przede wszystkim w kręgu prawników.

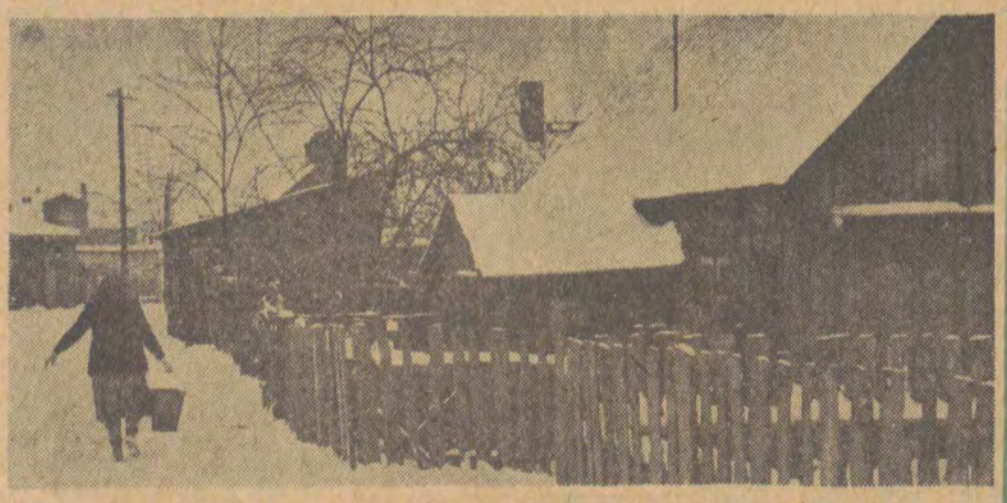

Krańcówka autobusu i zaczyna się Kaczka, takie Chojny Tomaszowa

Najostrzejsze ołówki świata

KENNET MAHOOD

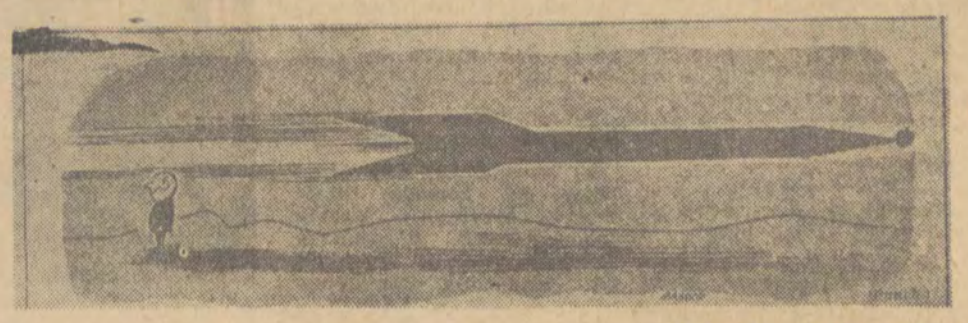

Mahood debiutował w brytyjskim „Punchu" jako młodziutki chłopak — mając zaledwie 19 lat. I od razu jego żarty rysunkowe wprowadziły świeży powiew w tradycjonalne nieco formy humoru uprawianego przez zasłużony magazyn. Młody karykaturzysta wyrastał pod urokiem świetnych żartów Steinberga, zapatrzony był na nowoczesny, absurdalny dowcip amerykańskich rysowników.

Z czasem Mahood zaczął ulegać wpływom środowiska: karkołomny absurd przerodził się u niego w przeważnie dość prawdopodobną anegdotę, sposób rysowania przestał być niewolniczym naśladownictwem Steinberga. (Reprodukowane obok rysunki pochodzą właśnie z późniejszego okresu twórczości Mahooda). Zawsze jednak pozostał wierny podstawowej dyscyplinie współczesnego żartu — obywaniu się bez komentarza słownego.

Kennet Mahood urodził się w Belfast w roku 1930. Po ukończeniu (z miernymi wynikami) szkoły średniej — studował malarstwo. Ze szczególnym upodobaniem tworzył wówczas obrazy abstrakcyjne. Obecnie prawie zupełnie zarzucił malarstwo, głównym jego zajęciem stało się rysowanie żartów i karykatur. Mieszka z żoną na prowincji w New Barnet.

J-ert.

Nowinki

Niezwykle pocieszające wiadomości mamy dla osób, które podpisały deklaracje na zakup samochodów importowanych i przedpłaciły w terminie należność. Otóż, jak się dowiadujemy w „Motozbycie", odbiorcy technicznri tej firmy wyjechali już za granicę, do wszystkich trzech krajów, z którymi podpisano umowy na dostawę w roku bieżącym samochodów osobowych, tj. do ZSRR, Czechosłowacji i NRD. Najsprawniejszym dostawcą okazał się Związek Radziecki, z którego to kraju nadeszły już pierwsze zakontraktowane małolitrażowe „Moskwicze 407"; również łódzka placówka „Motozbytu" otrzymała pierwszą partię 12 wozów tej marki. Z Czechosłowacji spodziewane jest nadejście pierwszych transportów popularnych samochodów „Skoda 440 Octavia" i „Skoda 445 Octavia Super" już w ostatnich dniach stycznia względnie na początku lutego. Podobnie z Niemieckiej Republiki Demokratycznej: pierwsze unowocześnione „Wartburgi" znajdą się w rękach właścicieli najdalej w połowie lutego.

Wiele zależeć tu będzie nie tyle od sprawności odbiorców technicznych, ile od... pogody. Wiadomo bowiem, jakie trudności przewozowe stwarzają śnieżyce nie tylko w transporcie drogowym, ale również kolejowym.

☆

I jeszcze jedna sprawa. Jak nas solennie zapewniono, dostawa wozów będzie się odbywała proporcjonalnie do przyznanych ilości, równocześnie do wszystkich wojewódzkich placówek „Motozbytu".

dlaczego?

...nowe znaki drogowe, oznaczające jeden kierunek ruchu (biała strzałka do góry na granatowym tle), ustawione na niektórych skrzyżowaniach (m. in. Rewolucji 1905 r. z Kilińskiego) mają dodatkowe czerwone tabliczki objaśniające?... Czyżby Wydział Komunikacji sądził, że łódzcy kierowcy są mniej inteligentni od swych kolegów po fachu z innych miast?...

...że na mieście mówią o rozmowach z Niemiecką Republiką Demokratyczną i Czechosłowacją w sprawie dostaw dodatkowych ilości samochodów osobowych produkcji tych krajów do Polski w roku 1960?.. W rachubę miałyby jakoby wchodzić „Wartburgi", „Octavie" i „Super-Octavie".

Znaczenie wyrazów:
Poziomo — 1) Falochron. 3) Pierwszeństwo lub pierwszy głos w chórze. 5) Porywisty wiatr często z deszczem. 6) Metal. 8) Namioty koczowników. 10) Zadowolona. 13) Inna nazwa bzu. 14) Obsypnik, narzędzie rolnicze. 15) Wielbłąd jednogarbny. 18) Cios, uszkodzenie, zranienie. 19) Rynek. 20) Postanowienie prawodawcze. 21) Ozdobny kamień półszlachetny. 22) Skrzynia.

Pionowo — 1) Zespół mięśni całego ciała. 2) Stolica państwa europejskiego. 3) Parkan. 4) Nauka o muzyce. 7) Wiązanie łączące dwie linie nut. 9) Flaga okrętowa o barwach państwowych. 11) Miasto nad Notecią. 12) Społeczeństwo. 16) Kulą, młotem lub oszczepem. 17) Odcinek czasu w rozwoju jakiegoś ruchu, procesu.

Termin nadsyłania rozwiązań — 2 tygodnie.

Rozwiązanie krzyżówki

Poziomo — debet, stoik, mrok, karm, matador, marabut, nurt, tank, ankra, kwant.

Pionowo — dominanta, brom, ogar, komunikat, czamara, kabat, kogut, mruk, tara.

Nagrody książkowe za rozwiązanie krzyżówki wylosowali:

1. Jerzy Szulejko, Wrocław 2, Podwale 40, D. 9;
2. Jan Burkiewicz, Łódź, ul. Snycerska 3, blok 432 m. 2.

NASZA KRZYŻÓWKA

1 M	O	L	2 O	■	■	■	■	■	3 R	Y	4 M
U	■	■	5 S	Z	K	W	A	Ł	■	■	U
6 S	T	7 A	L	■	■	■	■	8 B	9 B	O	Z
K	■	10 O	■	11	■	■	12 N	T	A	■	Y
U	■	■	■	■	■	■	A	■	N	■	K
13	■	■	■	■	■	■	14 R	A	D	Ł	O
A	■	■	■	■	■	■	O	■	E	■	L
T	■	15 D	16 R	O	M	A	P	17 E	R	■	O
18 U	R	A	Z	■	■	■	■	19 T	A	R	G
R	■	■	20 U	S	T	A	W	A	■	■	I
21 A	G	A	T	■	■	■	■	23 P	A	K	A

Nowość!!! Nowość!!!

SZOBERKI,
wieczne pióra i długopisy piszące
ortograficznie
Żądajcie we wszystkich sklepach z materiałami piśmiennymi!

Mieszany

pod redakcją JANA HUSZCZY

Typ z dyskusji

Żyje w każdej twórczej gromadzie
typ, co z myślami się nie zdradzi.

Inni o sztukę się sprzeczają,
on siedzi jak pod miedzą zając.

Inni się kłócą niestrudzenie,
do niego trafia zamówienie.

Ten i ów popada w nielaskę,
nieprzemakalną ma on maskę.

Inni pragną kształtować czasy,
a on już w kolejce do kasy.

Wszyscy zawzięci adwersarze
miłe dla niego mają twarze.

Gdy o innych sprzeczne są zdania,
jemu sprzyja słówko uznania.

Ci nie żałują swoich godzin,
pot z nich spływa, oczy im ślepi...

On pierwszy z dyskusji wychodzi
i na tym wychodzi najlepiej!!!

W karnawale

Ach, któż potrafi oprzeć się wzruszeniu, gdy od sufitu zwisają różnokolorowe lampiony, na tańczących pada suchy deszcz z confetti, gra orkiestra aż z pięciu złożona instrumentów, nie licząc perkusji, zaś oczy kobiet błyszczą jak dżety!

Ach, któż potrafi zrezygnować z konsumpcji, złożonej z kilku ciastek i krajowego szampana, wkalkulowanego do ceny wstępu na salę!

Nie jest ważne, iż kilku panów w młodym wieku — którzy widocznie nie poprzestali na krajowym szampanie — zakłóciło na pewien czas balowy nastrój, bowiem sprowadzona na salę milicja szybko wyłączyła ich poza nawias beztroskiej zabawy, zaś pogotowie ratunkowe równie sprawnie odwiozło ich ofiary do szpitala.

Nic więc dziwnego, że już po dwóch tangach i trzech walczykach zainteresowałem się w wyjątkowy sposób blondynką w mieniącej się sukni. Białe ramiona blondynki okrywał srebrem przetykany niebieski szal.

Zdaje się, że i ona mnie sobie upodobała: świetnie przecież tej nocy prezentowałem się w nienagannym fraku, którego czerń — otaczająca biały gors — przypominała skrzydła pingwina.

Jej małe pantofelki i moje lśniące lakierki ochoczo wystukiwały rytm coraz to innych tańców, niosąc nasze rozgrzane i nieco spocone ciała na fali nastroju i marzenia!

Potem znowu była konsumpcja ciastek i krajowego szampana, ale już opłacana dodatkowo...

Wracając do tańca, muskany przez niebieski szal, oświadczyłem:

— Pani jest więcej niż czarująca! Gdyby panią ujrzały owe przereklamowane Brygidy z kapitalistycznych krajów, to z zazdrości miałyby kredowe twarze!

Na co ona:

— Pan mi przypomina księcia Monaco!

— Była pani kiedy w Monaco?

— Jak dotąd to nie, ale widziałam zdjęcia w jednym takim tygodniku, którego nazwy nie pamiętam...

Wtedy czule ją poprosiłem:

— Mów do mnie: Rainier!

Przytuliła się szczelniej i zaproponowała:

— Mów do mnie: Grace!

* * *

Nazajutrz — lekko skacowany — znalazłem się w wypożyczalni strojów ślubnych, żałobnych i wieczorowych, aby zwrócić frak, lakierki i gors — w zamian zaś otrzymać kaucję.

Jakże byłem zaskoczony, gdy w obywatelce, załatwiającej przed kontuarem podobną sprawę, poznałem moją boginię z przetańczonej nocy!

— Grace, to ty? — zawołałem, jakby jeszcze oczom nie dowierzając.

— Rainier, a to ty? — zapytała ona, także jeszcze oczom swoim jakby nie dowierzając.

Zwiesiliśmy głowy, ale na krótko. Już po chwili wybuchnęliśmy prawie jednocześnie młodym śmiechem i poszliśmy do najbliższej cukierni na rurki z kremem.

Zosia okazała się jeszcze sympatyczniejsza niż podczas balu. Wyznała mi, że moje imię — a nazywam się Florian — lśni w gwiazdozbiorze imion światłem znacznie jaskrawszym niż imię Rainier...

Redaguje Zespół :: Wydawca: Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka" Adres redakcji: Łódź, Piotrkowska 96. Tel. 244-79 :: Warunki prenumeraty: miesięcznie 4.— zł, kwartalnie 12.— zł :: Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca :: Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy" :: Druk RSW „Prasa" — Łódź, Żwirki 17
Zam. 229. I. R-4.

ALEKSANDER FORD
opowiada o pracach zespołu „STUDIO"

Kierownika artystycznego zespołu „Studio", a w ogóle jednego z najpopularniejszych reżyserów w Polsce — Aleksandra Forda — trudno teraz uchwycić na parę minut rozmowy. Pan Ford do późnego wieczoru pracuje w atelier. Oczywiście nad głośną już od kilku miesięcy realizacja „Krzyżaków".

— Kiedy wreszcie widzowie zobaczą Pana filmy na ekranach? — zapytuję.

— W połowie roku. Obie serie — „Krzyżacy" i „Grunwald" będą całkowicie skończone w lipcu.

— Jak wiadomo, to najpoważniejsze w ostatnim okresie pozycje „Studia". Co poza tym przygotowuje zespół?

— Najbliższą premierą naszego zespołu będą „Małe dramaty" Nasfetera. Przy tym filmie trwają jeszcze tylko prace czysto techniczne. Po „Małych dramatach" ukażą się na ekranach „Kolorowe pończochy" — film, na który składają się dwie liryczne, zaskakujące oryginalnością nowele z życia dziewcząt. Nawiasem mówiąc, uważam, że Nasfeter należy do tych twórców, którzy mają własny styl i po których można się wiele spodziewać...

—Czytelników interesują też dalsze plany zespołu...

— Do produkcji skierowaliśmy już komedię Bilińskiej i Haupego — „Szczęściarz Antoni". W okresie przygotowawczym znajduje się scenariusz Centkiewiczów — „Biały ślad". Ten film opowiadający o Polaku, który w czasie ostatniej wojny znalazł się na Spitsbergenie reżyserować będzie Jarosław Brzozowski. Ponadto scenariusze dla nas piszą: Igor Newerly (według swojej najnowszej powieści „Szuhaj") i Władysław Machejek.

— Przy okazji tej krótkiej rozmowy chciałem zapytać co Pan jako mieszkaniec Warszawy, sądzi o propozycjach „Współczesności" dotyczących przeniesienia

do Warszawy Szkoły Filmowej?

— Nie chciałbym mówić o Szkole, ponieważ nie wiem w jakich ona teraz warunkach pracuje, a zresztą nie znam całości sprawy. Słyszałem natomiast o zamiarach przeniesienia do Warszawy Łódzkiej Wytwórni Filmów Fabularnych. Nie sądzę, aby takie koncepcje były prawdziwe. Ale uważałbym je za wielką bzdurę.

Rozm.
TADEUSZ ŻAKOWIECKI

ROMY SCHNEIDER

Mieszanka filmowa

Cybulski przed sądem

Na razie zdjęcie przedstawia Cybulskiego z Teresą Tuszyńską w scenie z filmu Janusza Morgensterna — „Do widzenia do jutra". Jak niedawno informowaliśmy film ten ukaże się wkrótce na ekranach.

Nie należy się dziwić, że Cybulski na tym zdjęciu ma smutną minę. Za dwa miesiące — dokładniej: 3 kwietnia — stanie on przed sądem pod zarzutem zabójstwa z premedytacją dokonanego na osobie sekretarza Szczuki.

Mówiąc serio, w Łodzi zanosi się na interesujące wydarzenie. Sekcja młodych prawników przy Wydziale Prawa Uniwersytetu Łódzkiego organizuje pokazowy (seminaryjny) proces z udziałem samych tylko studentów. W roli oskarżonego wystąpi Zbigniew Cybulski jako Maciek Chełmicki z „Popiołu i diamentu".

A więc nastąpi pierwsza tego rodzaju konfrontacja postaw moralnych pokolenia młodzieży współczesnej z pokoleniem ich rówieśników sprzed 15 lat. I jaka okazja do wypisywania sążnistych uogólnień przez Dostojewskich rodzimej publicystyki!

ŻKW

SYLVIA SYMS

EKRANIK

KAZIMIERZ KUTZ — absolwent łódzkiej PWSF — został laureatem nagrody krytyków za najlepszy polski film fabularny 1959 roku, „Krzyż walecznych". W międzyczasie Kutz nakręcił już następną pozycję, ponoć bardzo interesującą — „Nikt nie woła", a obecnie przygotowuje kolejny film, „Harmonijkę" wg scenariusza Macieja Patkowskiego.

○

W BUDAPESZCIE cieszy się ogromnym powodzeniem przeróbka teatralna świetnego filmu amerykańskiego „Dwunastu gniewnych ludzi". Spektakl odbywa się zawsze późnym wieczorem — i bierze w nim udział 12 najlepszych aktorów z różnych teatrów stolicy Węgier.

○

REŻ. BOŻYWOJ ZEMAN — autor znakomitego „DIABELSKIEGO WYNALAZKU" — realizuje kolejny film fantastyczny — tym razem kolorowy! Będzie to nowa wersja przygód barona Münchhausena, baśniowego podróżnika i ...łgarza. Poprzednią wersję w 1943 roku wypuściła hitlerowska UFA, jako jubileuszowy film tej wytwórni. Tamto opracowanie było jednak mało dowcipne, ciężkawe, a nadto nie pozbawione propagandowych akcentów.

○

A JEDNAK REKLAMA nie kłamała! Przed miesiącem donosiliśmy o zapowiadanej z wielkim szumem premierze amerykańskiego filmu „Na plaży". Hałas reklamowy, jaki podnosili producenci — tym razem okazał się uzasadniony. Antywojenny film Stanley Kramera — jak zgodnie piszą krytycy na całym świecie — okazał się dziełem wybitnym. Szkoda tylko, że przy równoczesnych premierach filmu Kramera w kilkudziesięciu miastach naszego globu — nie pomyślano o Polsce...

DONALD

„Morderca mimo woli"

Dość fałszywe pojęcie o kinematografii japońskiej wyrobiły w nas wyświetlane dotąd w Polsce filmy z tego kraju. Takie pozycje jak „Wrota piekieł", „Rashomon" czy „Dzieci Hiroshimy" — stanowią jedynie znikomą cząstkę ogromnej produkcji japońskiej, która ilościowo zajmuje pierwsze miejsce na świecie. Przeważają tam filmy zdecydowanie komercjalne, pozbawione większych ambicji artystycznych i wzorowane wyraźnie na taśmowej produkcji amerykańskiej.

Ale „Morderca mimo woli" znów nie jest zbyt typowym przykładem tego komercjalnego oblicza japońskiej kinematografii. Bo choć w żadnym wypadku nie można go zaliczyć do arcydzieł — to jednak od masowej tandety wyraźnie się odcina.

„Morderca" jest zrobionym bardzo zręcznie kryminałem typu „thriller", gdzie trup pada gęsto, akcja rozwija się wartko i pomysłowo. A wszystko razem jest sfotografowane z dużą inwencją — i zupełnie przyzwoicie zagrane przez aktorów.

Po kilku niedobrych kryminałach francuskich i niemieckich jakie ostatnio widzieliśmy na ekranach — film japoński można śmiało polecić wszystkim amatorom „dreszczyku".

J. W.

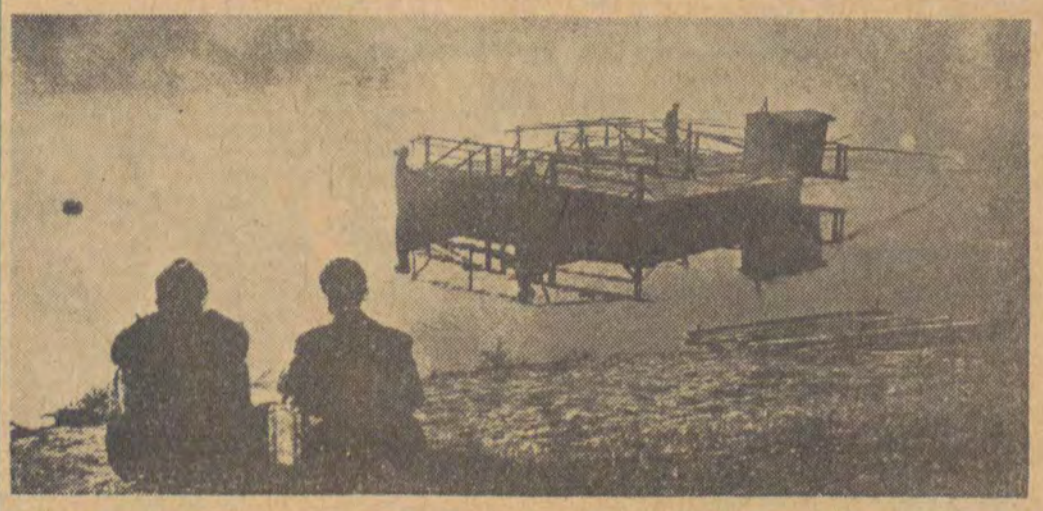

„BEZ ROZKŁADU JAZDY"

Kinematografia jugosłowiańska, której niemal wszystkie filmy tematycznie eksploatowały bogatą jugosłowiańską przeszłość okupacyjną i partyzancką, przełamała tę manierę udaną składanką kilku nowel filmowych zatytułowaną „Sobotni wieczór". Obecnie mamy godne do odnotowania i omówienia premiery dwóch nowych filmów jugosłowiańskich: "Bez rozkładu jazdy" i „H-8.." Oba dotyczą spraw powojennych choć nie oba można w całym tego słowa znaczeniu nazwać współczesnymi filmami.

„Bez rozkładu jazdy" w reżyserii Veljko Bałajica, to epicki obraz losów grupy chłopów jugosłowiańskich obejmujących we władanie odzyskane w wyniku wyzwolenia ziemie. Film jest nie tylko relacją z wydarzeń wiosny 1946 roku, ale również opowieścią o wewnętrznych oporach, o różnorodnej psychice poszczególnych ludzi. Na ekranie oglądamy zwięzłą dramaturgicznie całość, popartą rzetelnym warsztatem twórczym nie tylko reżysera, ale ogromną inwencją plastyczną autora panoramicznych zdjęć operatora Kreso Grcewica. Bardzo dobrze się stało, że reżyser i operator nie skusili się na realizację filmu na taśmie barwnej. Czarno-białe, mocno kontrastowe zdjęcia posiadają w tym filmie wiele ekspresji, są jednym z elementów dramaturgicznych. Nie tylko obrazują akcję, ale podkreślają materiał treściowy zawarty w scenariuszu. Ponadto dobrą stroną filmu jest obsada aktorska.

Uroczysta premiera tego filmu odbyła się w połowie grudnia minionego roku w warszawskim kinie „Śląsk". Publiczność warszawska miała możność osobiście poznać odtwórczynię jednej z głównych ról — młodą aktorką, speakerką telewizji w Zagrzebiu i studentkę medycyny w jednej osobie — Lilianę Vajler.

ALEKSANDER NIEŚMIAŁEK